czyt. 2552/1977/6

Co młody aktor wiedzieć powinien...
Mirosław Derecki str. 8

Pierwsza młodość podkasanej muzy
Andrzej Koperwas

UŚMIECH JEDNEGO DNIA
str. 16

Dłużnicy do raportu!
Jerzy Dostatni
str. 10

Pałac w Kozłówce
Fot. Zbigniew Zugaj

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 20 III 1977 Nr 6 (622) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

URZĘDNICY

ZMIĘCI, jak zarękawki, i zmęczeni urzędnicy wychodzą codziennie z biur, tworząc anonimowy tłum nie lepszy i nie gorszy od innych zawodów. Śpieszą po dzieci z przedszkola, po zakupy, albo tak sobie — byle dalej od urzędu. I wszystko im jedno, czy nazywa się ich tylko „urzędnikami", aż „dyplomowanymi pracownikami administracji państwowej", w skrócie „pracownikami administracji" lub z przekąsem, „płcią urzędniczą". Jeśli któryś z nich znajduje w sobie choć trochę „urzędasa" czyli pozoranta, nie załatwiającego w ferworze pracy żadnej pożytecznej sprawy — jest mu na dodatek podle.

Rozgoryczenie do urządowania bierze się nie tylko z niespełnionych nadziei dnia powszedniego. Składają się na nie niepowodzenia życiowe, sfinalizowane kiedyś podjęciem pracy w biurze (chwilowo — lecz niestety na długie lata), czasem ma na to wpływ opinia publiczna wyrażana w dowcipach i rysunkach satyrycznych, nawet na pierwszej stronie „Polityki". Mało kto urodził się na urzędnika — organizatora rozsmakowanego prowadzeniem swojej działki administracyjnej lub choćby poetę urzeczonego subtelnym nimbem segregatora, bo urzędnikiem zostaje się w ostateczności. Kąśliwo melancholijny przeplataniec prywatnych doznań i popularnych uogólnień bywa w odczuciu urzędników tym bardziej wyrazisty, im mniej satysfakcji znajdują w pracy. Prawdziwe satysfakcje zdarzają się im rzadko, co najwyżej małe sukcesy zacierają równie małe niepowodzenia.

Nijakość jest najprzykrzejszą zmorą urzędowania, twierdzą zgodnie urzędnicy. Wyrwanie się z niej to jeden z pierwszych stopni do awansu. Ostatnio młodzi i obrotni ludzie szybko wypatrzyli tę drogę uwalniającą ich od wieloletniego gnuśnienia za tym samym biurkiem. Ale — jak mówią właśnie młodzi — wielu z nich boi się samodzielności i odpowiedzialności, woli siedzieć na zagrzanym już sobie miejscu. Z drugiej jednak strony bywa i tak (np. w leśnictwie, nie tylko lubelskim), że mimo najszczerszych chęci młody inżynier przez większą część dnia nie ma w zarządzie okręgu nic do roboty poza udawaniem, że pra-

Dokończenie na str. 4—5

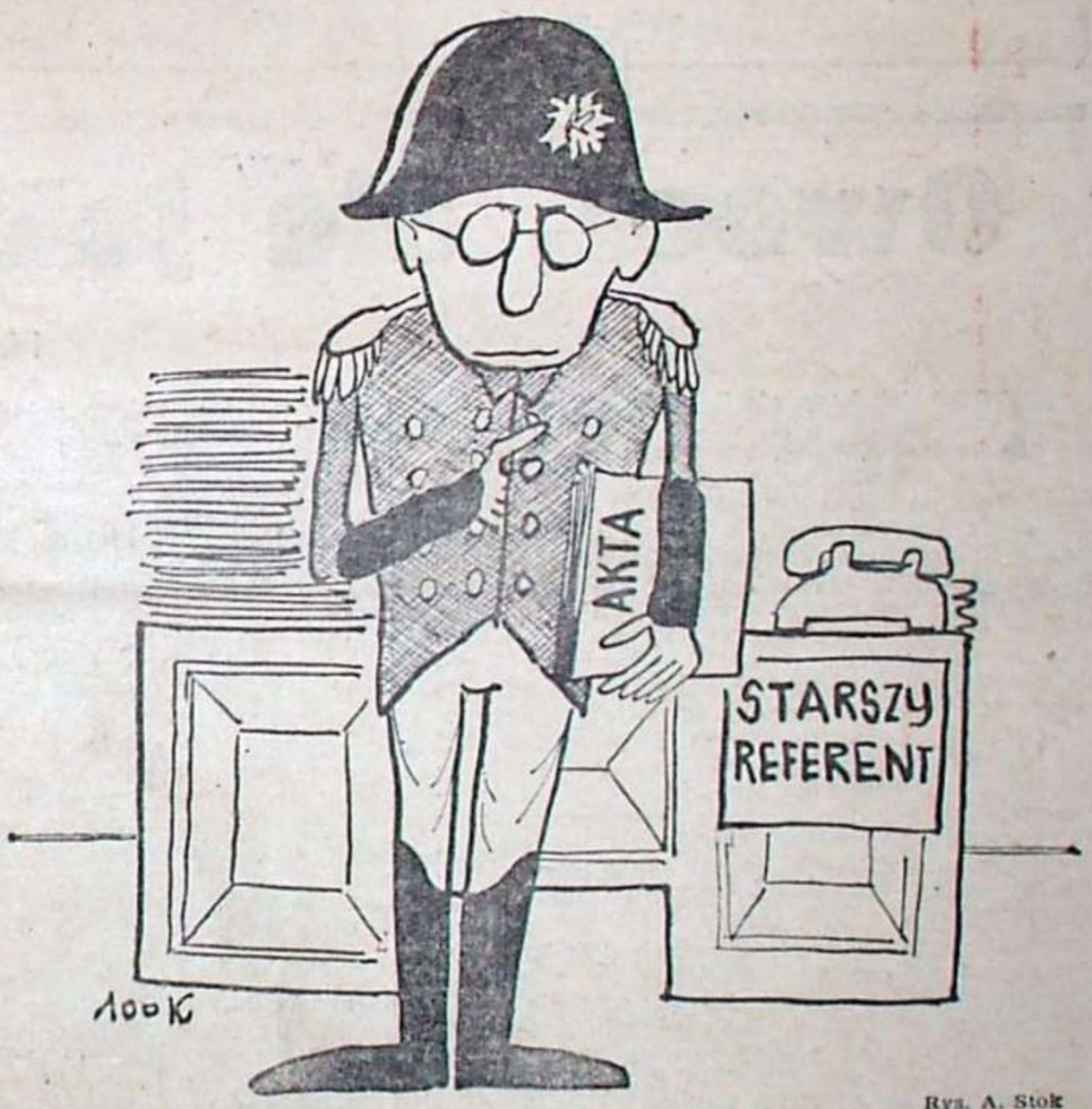

Rys. A. Stok

Samochód wystawia rachunek

Maciej Podgórski

LICZBA pojazdów samochodowych w Lublinie, jak i w całej Polsce, rośnie. Dotyczy to zarówno sektora uspołecznionego, jak i prywatnego. Z jednym tylko wyjątkiem — samochodów osobowych w gospodarce uspołecznionej, co wiąże się ze znanymi, i słusznymi zasadniczo, oszczędnościami. Największy przyrost notuje się wśród prywatnych samochodów osobowych, których w Lublinie na koniec 1974 roku było zarejestrowanych 10 821, na koniec zaś 1976 roku — już 14 042.

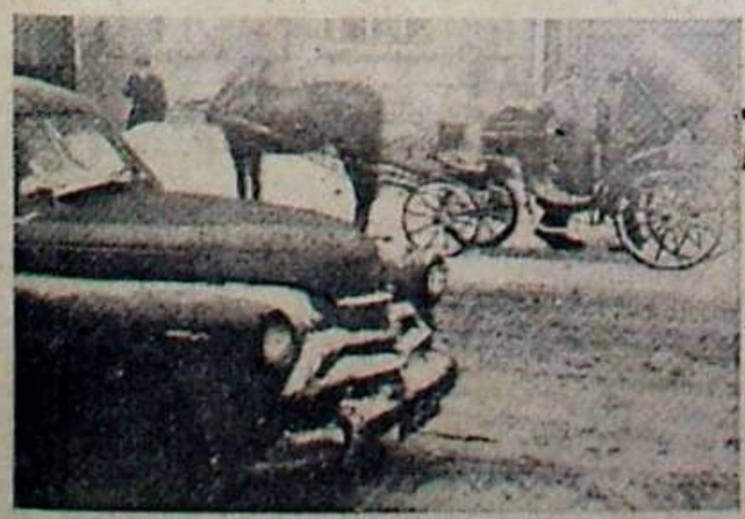

Fot. Andrzej Polakowski

Nie jesteśmy jako kraj, oczywiście, potęgą motoryzacyjną, chociaż coraz dotkliwiej zaczynamy odczuwać tak zwane skutki uboczne motoryzacji. Oto niedawno w „Polityce" (nr 9) Marek Hołyński napisał: *Spalin w powietrzu jest obecnie w Warszawie mniej więcej tyle, co w Paryżu, a natężenie ruchu samochodowego również takie, jak w Paryżu, ale przed dwudziestu laty. W 1975 r. po raz pierwszy udział samochodów w zanieczyszczaniu atmosfery był większy niż licznych zakładów przemysłowych stolicy.*

Innym oczywistym skutkiem rozwoju motoryzacji są wypadki drogowe, wśród których przeważają tak zwane stłuczki, kiedy nie ma ofiar w ludziach, a straty szacuje się każdorazowo poniżej 25 tysięcy złotych. Tego rodzaju kolizje nie będą mnie tutaj interesować, aczkolwiek los właścicieli uszkodzonych pojazdów jest ciężki ze względu na znane niedostatki zaplecza usług motoryzacyjnych.

Termin „wypadek drogowy" rezerwuję sobie na taką sytuację, kiedy są ofiary w ludziach (potłuczeni, ranni bądź zabici) lub gdy straty przekraczają 25 tysięcy złotych. Ze statystyki, prowadzonej przez dział wypadków drogowych Prokuratury Rejonowej w Lublinie, wynika, że od paru lat liczba tego rodzaju zderzeń na terenie Lublina ustabilizowała się na stałym poziomie, wyjąwszy rok 1974, gdy było ich mniej (po podwyżce cen benzyny ludzie przez pewien czas bardzo oszczędnie

Dokończenie na str. 4—5

Wyżej „Kurier"!

R.

20 LAT kurier lubelski

Zespół „Kuriera Lubelskiego" wraz ze wszystkimi czytelnikami, do których i my się zaliczamy, obchodzi dwudziestą rocznicę powstania pisma. Do życzeń, jakie z okazji tego święta napłyną z całej Polski, przyłącza się również kolegium redakcyjne i zespół „Kameny". Ostatnią stronę przeznaczyliśmy na uczczenie jubileuszu. „Kurier" zamieszcza zwykle na pierwszej stronie rysunki pod tytułem „Uśmiech każdego dnia". Przyznajemy się do małego plagiatu: u nas „Kurier" gości w ramach „Uśmiechu JEDNEGO dnia", ale nawet gdy ktoś, przeglądając rysunki, uśmiechnie się przez pół sekundy i tak będziemy w pełni usatysfakcjonowani.

Ale poważnie: odnosimy wrażenie iż „Kurierowi" udało się zręcznie połączyć cechy „czytelnikowskiego" — że przypomnimy „Gazetę Lubelską" — dziennika porannego i typowej popołudniówki. Wbrew pozorom nie jest to zadanie łatwe, więc tym bardziej należy je cenić.

A że podpis pod publikowanym tutaj rysunkiem brzmi „Wyżej «Kurier»"? Prosimy traktować go dosłownie, jak np. „W górę serca"!

Sto lat „Kurierze"! Na początek!

Owoce, ale jakie?

Marek Adam Jaworski

KOGO jak kogo, ale Polaków szczególnie interesuje to, co się dzieje w Republice Federalnej Niemiec. Umiemy patrzeć i wyciągać wnioski, bo nauczyła nas tego przeszłość. Jeśli na mapie politycznej RFN dostrzegamy przejawy realizmu, spotykają się one z naszą aprobatą. Pilnie odnotowywaliśmy i odnotowujemy głosy tych Niemców, żyjących między Łabą a Renem, którzy pragnęliby ułożyć stosunki RFN—Polska na nowych zasadach, zgodnie z Aktem Końcowym Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Polska, jej kierownictwo państwowe, czyni wiele wysiłków w tym kierunku. Sprawie normalizacji sprzyjała ubiegłoroczna wizyta I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka, w RFN. Zarówno w przemówieniu przywódcy naszego narodu, jak i przywódców RFN znalazło się wiele słów wskazujących na potrzebę i konieczność pogłębiania wzajemnych stosunków, służących nie tylko sprawie obu państw, obu narodów, ale i sprawie całej Europy, wolnej od groźby nowej wojny.

Oczywiście mamy wiele własnych doświadczeń i dlatego też od początku liczyliśmy się z tym, że proces normalizacji może napotykać na takie czy inne przeszkody. Strona zachodnioniemiecka też musiała sobie zdawać z tego sprawę, skoro Willy Brandt mówił w grudniu 1970 r. w Warszawie: *Uważam, tak jak Abraham Lincoln, że dziś jeszcze trzeba zasadzić drzewo, które potrzebuje d u ż o c z a s u* (podkr. MAJ) *żeby się w pełni rozwinęło.*

Od grudnia 1970 r. minie w tym roku lat siedem, od rozmów Edwarda Gierka i Helmuta Schmidta w Helsinkach — dwa, od wizyty Edwarda Gierka w RFN — rok. Jeśli czas mierzyć historycznie, nie będzie to okres zbyt długi. Wydaje nam się jednak, że charakter wzajemnych stosunków przekracza granice obu naszych krajów i dlatego to drzewo, o którym wspominał Willy Brandt, powinno mieć szczególnie cieplarniane warunki do swego wzrostu.

Niestety, ostatnio znad Renu powiało chłodem. Określenie to jest bardzo delikatne, pod pióro ciśnie się inne sformułowanie.

Oto Herbert Czaja, długoletni deputowany do Bundestagu, ośmiela się publicznie domagać, by władze RFN *zajęły się sprawą ukarania osób winnych śmierci Niemców w obozie Lamsdorf—Łambinowice.* Rzecznik rządu odpowiada wprawdzie, że rząd nie podejmie w tej sprawie żadnych działań ale nie uważa za stosowne potępić tej prowokacyjnej interpelacji. Taka reakcja zachęca Czaję i innych rewizjonistów do dalszych kroków: kierują oni na ręce prokuratora miasta Hagen w Westfalii odpowiedni wniosek. Prokurator postanawia wszcząć (!) postępowanie karne przeciwko polskim obywatelom, którzy pełnili funkcje strażnicze w łambinowickim obozie.

O tym obozie pisze „Głos Szczeciński" w n-rze z 10 marca, przypominając, że przebywali w nim Niemcy, których przesiedlano z Polski w wyniku Umowy Poczdamskiej do jednej ze stref okupacyjnych Niemiec:

Niemieccy nacjonaliści twierdzą, że: „w obozie w Łambinowicach popełniano zbrodnie na przebywających tam Niemcach". O co tu w tym wszystkim chodzi? Kto kogo mordował? Przypomnijmy więc, że w obozie w Lamsdorf hitlerowcy wymordowali ponad 40 tysięcy polskich i radzieckich jeńców wojennych. I to jest sprawą bezdyskusyjną, udowodnioną czarno na białym. Jeśli zaś chodzi o okres powojenny, to charakter tego obozu uległ radykalnej zmianie. Służył on bowiem za punkt etapowy w akcji wysiedleńczej Niemców z naszego terytorium. Nie mamy powodów do tłumaczenia się z rzekomych zbrodni dokonywanych jakoby na Niemcach. Są to wierutne kłamstwa. Czy nie notowano jednak zgonów w obozie w Łambinowicach? Trzeba stwierdzić, że wśród osób zgromadzonych w Łambinowicach znajdowali się ludzie różnej kondycji i różnego wieku. Procesy naturalne mają zaś to do siebie, że człowiek nie zawsze umiera w najdogodniejszym dla siebie miejscu. Starość, choroba, to były przyczyny, w wyniku których odnotowywano przypadki śmierci w Łambinowicach.

Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — profesor doktor Czesław Pilichowski stwierdza, że po wojnie podczas akcji przesiedleńczej Polaków, a objęła ona ok. 3 milionów Polaków, w punktach etapowych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego zmarło 1441 rodaków. W trakcie całej akcji wysiedlania Niemców z Polski, która objęła 2 585 849 osób po roku 1945, zmarło 1 136 repatriantów.

Czy Herbert Czaja o tym wszystkim nie wie? Naiwni mogliby tylko tak mniemać. Ale Czaja najwidoczniej zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że właśnie w RFN naiwnych nie brakuje i nie brakuje też ludzi, którzy przyklasną jego inicjatywie. W kraju, gdzie oficjalnie sprzedaje się i kompletuje odznaczenia hitlerowskie, płyty z nagraniami przemówień wodza III Rzeszy i jego palatynów, goebbelsowskich marszów wojennych — a dzieje się to w trzydzieści dwa lata po kapitulacji, kiedy wyrosło już nowe pokolenie — Czaja może łgać jak najęty, może jątrzyć bezkarnie.

Casus Czaja to jednak przykład krańcowy, ale nie wolno go pomijać.

Z drugiej strony są inne fakty, które nie sprzyjają procesowi normalizacji. Weźmy chociażby sprawę bońskiego ustawodawstwa o obywatelstwie, które sięga jeszcze okresu pruskiego zaboru i do dziś jest w pełni aktualne. Zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel" pisał, że *według obowiązującego w Republice Federalnej prawa uważa się za obywateli niemieckich wszystkich, którzy posiadają niemieckie obywatelstwo na podstawie ustawy Rzeszy o obywatelstwie z 1913 r., obojętnie czy mieszkają oni dzisiaj w Kolonii, Hamburgu, Lipsku czy w polskim Wrocławiu.* Gdybym więc np. miał nieco więcej lat i urodził się w Poznaniu, który przed I wojną światową należał do Prus, w RFN uważano by mnie za... obywatela niemieckiego! Czy łatwo znaleźć podobną bzdurę w ustawodawstwie innego kraju?

Oczywiście owo ustawodawstwo szczególnie ujemnie odbija się na stosunkach RFN-NRD i stanowi wyraźną sprzeczność z Aktem Końcowym KBWE. Sekretarz generalny KC SED wskazał niedawno, iż trudno oczekiwać intensyfikacji ruchu podróżnych z NRD do RFN, jeśli w Niemczech zachodnich ciągle nie uznaje się odrębności państwowej NRD i każdego przyjezdnego z tego kraju traktuje jako „obywatela niemieckiego", podlegającego bońskiemu ustawodawstwu i sądownictwu. Nawet cytowany już „Der Spiegel" zmuszony jest przyznać, iż temat ten stanowi dla rządu bońskiego tabu. Rząd z *przyczyn politycznych* uchyla się od jakichkolwiek ustępstw, mimo że niektórzy prawnicy są zdania, iż *Republika Federalna nie będzie mogła na dłuższą metę sprzeciwiać się ustawowemu uregulowaniu na nowo sprawy obywatelstwa niemieckiego.*

Wspomniałem na wstępie, że Polaków szczególnie interesuje to, co się dzieje w RFN. I tak samo, jak z aprobatą witamy przejawy realizmu, tak samo z całą mocą potępiamy to wszystko, co ma na celu zahamowanie procesu normalizacji, odrodzenie zimnowojennych tendencji, szerzenie w społeczeństwie zachodnioniemieckim nastrojów odwetowych. Dlatego na wielu wiecach daliśmy wyraz naszym odczuciom domagając się położenia kresu antypolskiej nagonce w RFN. Nasz kraj ściśle realizuje postanowienia Układu z RFN i przyjęte na siebie zobowiązania. Mamy prawo domagać się tego samego i od drugiej strony. Bo chcielibyśmy, aby drzewo, o którym mówił Willy Brandt, jeszcze dla naszego pokolenia mogło owocować. I by owoce nie były trujące. Pragnęlibyśmy wierzyć, że podobne są intencje kół rządowych RFN i większości społeczeństwa tego kraju.

Podczas mego pobytu w RFN, na jesieni 1975 r., spotkałem wielu ludzi, zwłaszcza młodych, którzy podkreślali, że nadszedł czas, by myśleć przede wszystkim o przyszłości. Nam, Polakom, trudno przekreślić przeszłość. Właśnie dlatego, by przeszłość nigdy nie mogła się powtórzyć, wsparliśmy naszą siłę odpowiednimi sojuszami. W oparciu o nie pewniej pragniemy pogłębiać proces normalizacji. Sądzimy, że młode pokolenie żyjące w RFN mogłoby też wiele zdziałać, jeśli rzeczywiście chce poważnie myśleć o przyszłości.

Koleżance Anne Radczak Mańkowskiej
i Koledze Zygmuntowi Mańkowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

MATKI
i TEŚCIOWEJ

składa Kolegium i Zespół „Kameny"

PROFILE

Dnia 28 marca br. około godz. 10 rano w czasie inspekcji służbowej zginął od skrytobójczych kul ukraińskich faszystów z UPA na drodze Sanok — Baligród generał broni Karol Świerczewski, drugi wiceminister Obrony Narodowej, były dowódca II Armii, bohater walk o Nysę Łużycką.

TEN zwięzły komunikat Ministerstwa Obrony Narodowej, zamieszczony na czołówkach wszystkich gazet w Polsce 30 marca 1947 roku, boleśnie uświadomił narodowi odejście wielkiego żołnierza i patrioty. Owianego legendą jeszcze za życia — Waltera.

Przypomnijmy dziś, po trzydziestu latach, niektóre szczegóły tragedii, która rozegrała się na bieszczadzkiej drodze pod Jabłonkami k/Baligrodu. Są to fakty odnotowane w dokumentach i relacjach pisanych przez świadków — uczestników ostatniej walki przeciw nacjonalistom ukraińskim banderowcom, w której dowodził Generał.

27 MARCA 1947 R.

Aleksander Cesarski: *Na spotkanie gen. Świerczewskiego wyjechaliśmy do Krosna [...] Samolot, zwykły „kukuruźnik", przyleciał z Rzeszowa gdzieś koło godziny drugiej po południu. Gen. Świerczewski odebrał raport, przywitał się z dowódcą Krakowskiego Okręgu gen. Prus-Więckowskim, dowódcą dywizji płk. Bieleckim i innymi oficerami sztabu dywizji, którzy przyjechali na lotnisko [...] Pod wieczór, gdzieś koło godziny szóstej, dobiliśmy do sztabu dywizji, gdzie do późnych godzin wieczornych trwała odprawa. Zarówno dowódca dywizji płk. Bielecki, jak i inni oficerowie, relacjonowali wiceministrowi Obrony Narodowej sytuację w Bieszczadach.*

Jan Gerhard: *27 marca późnym wieczorem telefonował do mnie szef sztabu dywizji płk. Ilnicki z Sanoka. Uprzedzał o jakiejś inspekcji, która odbędzie się o świcie następnego dnia i obejmie Lesko oraz Baligród. Natychmiast wydałem odpowiednie rozkazy [...] Grupa wydzielona z 1 batalionu wyruszyła z Leska nocą, aby przed świtem 28 marca być na miejscu i ubezpieczać przejazd generała Świerczewskiego. Tejże nocy z 27 na 28 marca rozmawiałem telefonicznie z dowódcą baligrodzkiego garnizonu, kapitanem Karczewskim. Uprzedziłem go o jutrzejszej inspekcji, nie wymieniając oczywiście Świerczewskiego. Nie wiedziałem zresztą w ogóle, że wiceminister Obrony Narodowej znajduje się na Rzeszowszczyźnie. Wiadomość o jego pobycie od 26 marca w naszych stronach nie dotarła jeszcze do Leska [...] Z Karczewskim rozmawiałem, jak zawsze, po francusku. Stanowiło to dodatkowe zabezpieczenie przed ewentualnym podsłuchem banderowców.*

28 MARCA 1947 R.

Informacja zamieszczona w „Polsce Zbrojnej" z dnia 31 III 1947: *Po przeprowadzeniu dokładnego przeglądu garnizonów w Rzeszowie, Jarosławiu, Przemyślu i Sanoku — gen. Świerczewski udał się 28 marca br. o godz. 6,30 do Baligrodu.*

Raport ppłk. Gerharda z 29 III 1947: *... o godz. 7.30 przybywa gen. Świerczewski w towarzystwie gen. Więckowskiego, płk. Bieleckiego i kpt. Cesarskiego do m. Lesko pod ochroną dwóch delegatów oraz około 18 ludzi.*

J. Gerhard (w dwadzieścia lat później w „Polityce"): *Inspekcja była niezwykle krótka, generał Świerczewski, Prus-Więckowski i Bielecki przeszli po odebraniu regulaminowego meldunku powitalnego przed frontem kompanii honorowej złożonej z elewów pułkowej Szkoły Podoficerskiej. Po kilku zdaniach pod adresem żołnierzy generał Świerczewski zarządził dalszą jazdę. Ruszyły te same wozy plus wydzielona przeze mnie dodatkowa ochrona: 25 elewów pod bezpośrednim dowództwem chorążego Blumskiego na ciężarówce ZIS. Jechał też oficer samochodowy pułku podporucznik Kryśiński (...) W Baligrodzie znaleźliśmy się o godz. 7.50.*

Zbigniew Rawicz: *Generał Świerczewski podszedł z wolna do pierwszego z brzegu strzelca, który wciąż jeszcze prezentował karabin. Rozkazał „dać na ramię" i „do nogi broń". Zapytał żołnierza o imię, nazwisko i pochodzenie; własnoręcznie rozpiął na nim płaszcz.*

— Bieliznę masz czystą. A kiedy byłeś w łaźni?

— W sobotę, panie generale — służbiście odpowiedział żołnierz.

— No to pokaż karabin.

Wziął karabin strzelca, szybko wyjął zamek i spojrzał pod światło. Obejrzał lufę z jednej i drugiej strony, po czym uczynił swój charakterystyczny gest zadowolenia: karabin był czysty.

GODZINA 9.00

Raport: *Pod koniec kontroli gen. Świerczewski wyraża zupełnie niespodziewanie życzenie skontrolowania WOP-u w m. Cisna. Zarówno płk. Bielecki, jak ja sam oraz kpt. Karczewski, d-ca baonu 34 pp., wyrażamy nasze zdziwienie i zwracamy generałowi Świerczewskiemu uwagę na pewne ryzyko tej podróży. Gen. Świerczewski uśmiecha się i przy tej sposobności wywiązuje się charakterystyczny, pamiętny dialog między gen. S. a kpt. Karczewskim:*

Gen. S.: *No i cóż kapitanie, czy i wy myślicie, że to takie niebezpieczne?*

Kpt. K.: *Na 100 procent drogi u nas nie są bezpieczne, obywatelu generale!*

Gen. S.: *Ach, i w Warszawie może cegła spaść komu na głowę.*

J. Gerhard: *Cała dyskusja trwała nie więcej niż 3 do 5 minut, po czym na formalny rozkaz generała Świerczewskiego samochody zawróciły na szosie i skierowały się na południe.*

Czołową osłonę stanowił jeden z dodge'ów, którym jechałem wraz z pod pułkownikiem Szpakowskim i 18 szeregowcami uzbrojonymi w 2 ręczne karabiny maszynowe, pistolety maszynowe, karabiny i granaty. Za nami w otwartym dodge'u znalazł się generał Świerczewski siedzący obok kierowcy — bombardiera Strzelczyka (w mojej książce „Łuny w Bieszczadach" — ogniomistrz Kaleń). Z tyłu znaleźli się: gen. Prus-Więckowski, płk. Bielecki, kpt. Cesarski, ppor. Łucznik i 4 szeregowych z dwoma ręcznymi karabinami maszynowymi. Trzecim wozem, ową ciężarówką ZIS z Leska — jechało 19 elewów Szkoły Podoficerskiej z 1 ręcznym karabinem maszynowym.

Dwa kilometry za Baligrodem pierwszy dodge zupełnie stanął. Generał wysunął się na czoło, rozkazując ppłk. Szpakowskiemu zawrócić. Część żołnierzy przesiadła się na ZIS-a. Po tej przymusowej redukcji w dalszą drogę ruszyły już tylko 33 osoby.

OSTATNI BÓJ GENERAŁA

Po 6 kilometrach w miejscu, gdzie kiedyś istniała wieś Jabłonka, kolumnę zatrzymał ogień prowadzony z lewej strony ze wzgórz za skrajem lasu Chryszczatej. Dodge Generała przystanął za mostkiem na strumieniu Jabłonka. Kilkadziesiąt metrów z tyłu zatrzymał się ZIS. Strzelano również z prawej strony. Dowództwo objął Generał.

J. Gerhard: *Generał Świerczewski mistrzowsko rozegrał swój ostatni bój w życiu. Z jego rozkazu rozwinęliśmy się w klinową tyralierę, która wolno, metr po metrze, zaczęła się wspinać na wzgórze. Ten szyk klina miał decydujące znaczenie. Sądzę, że „Hryń" prawidłowo ocenił sytuację. Gdyby chciał poderwać swych ludzi do ataku, musieliby oni biec albo po zewnętrznej stronie obu ramion klina, albo zbić się w gromadę między tymi ramionami. W obu wypadkach byliby po prostu rozstrzeliwani przez ugrupowanych w zmiankowy sposób żołnierzy. W rezultacie banderowcy ograniczyli się do prowadzenia ognia.*

Był to ogień morderczy. Pierwszy zginął podporucznik Kryśiński, przecięty w pół seriami z erkaemu banderowców. Bezpośrednio po nim padł bombardier Strzelczyk, który usiłował zawrócić samochód na szosie. Obie nogi strzaskano chor. Blumskiemu. Ranny był strzelec Środa. Od pocisków zapalających płonęła w wielu miejscach trawa. Te płomienie i kłęby dymu utrudniały nam ogromnie manewr i łączność wzrokową. Zaczął się również palić las za naszymi plecami, po drugiej stronie strumienia Jabłonka.

Ogień banderowców narastał i wzmagał się z lewej strony. Najwidoczniej chcieli nas oskrzydlić. Generał Świerczewski podjął wtedy nową decyzję.

— Gerhard — zawołał do mnie — zostaw tu małą grupę jako osłonę, a sam przeskocz z resztą na linię strumienia. Powtórzyłem to polecenie Bielickiemu. Blumski mimo ciężkich ran przekazał rozkaz żołnierzom. Byłem wtedy mniej więcej 25 metrów nad szosą. Z tego położenia widziałem, jak generał Świerczewski rozpina płaszcz i mundur. Był trafiony. Pułkownik Bielecki i kapitan Cesarski, a za nimi podporucznik Łucznik podbiegli do niego, aby go podtrzymać. Szedł słaniając się w kierunku kolana strumienia, z którego linii prowadziliśmy już wtedy — zgodnie z jego rozkazem — ogień do nieprzyjaciela. Dwa następne trafienia banderowców, które ugodziły generała, okazały się śmiertelne.

A. Cesarski: *Miał oczy szeroko otwarte. Nie wiem czy mnie poznał. Uniósł jednak głowę i powiedział wyraźnie:*

— Nie oddajcie mnie banderowcom!

— Nie oddamy! Generale, trzeba się wycofać! — powiedziałem.

Do zbawczego strumienia było jakieś 20 — 30 metrów. Strzelano po nas. Raz i drugi tuż obok zaszeleściła ziemia darta karabinowymi kulami. Wreszcie — zbawczy brzeg. Jakaś postać podrywa się z ziemi i podbiega z pomocą. Poznałem — to porucznik Łucznik. Teraz już razem chwytamy gen. Świerczewskiego pod ramiona, schodzimy do wody. Wysoka skarpa brzegu kryje nas przed ogniem. Woda sięga po pas, czasem po pierś, oślizłe kamienie umykają spod nóg. Generał jest ciężki, leci bezwładnie przez ręce. Wokół kanonada nie cichnie ani na sekundę. Brniemy wzdłuż strumienia, za zakrętem wychodzimy na ląd. Przeciwległy wysoki brzeg zasłania nas tu przed kulami. Generał oddycha, ale ma zamknięte oczy i jest nieprzytomny. Układamy go na brzegu. Po chwili dołącza do nas ppłk. Gerhard. Próbujemy opatrzyć rannego — osobiste opatrunki ma przy sobie por. Łucznik. Rozpinamy płaszcz i mundur. Widać wyraźnie wlot dwu kul, które weszły z boku w jamę brzuszną... Generał kona...

Raport: *Uratował nas fakt pojawienia się trzeciego dodge'a, który zdołał naprawić swój defekt. Bandyci myśląc, że nadchodzi jakaś większa pomoc, zbiegli na sam dźwięk motoru. W tym momencie generał Świerczewski już nie żył.*

Zginął w przypadkowej zasadzce zorganizowanej przez połączone sotnie „Hrynia" i „Stacha". Jak stwierdził jeden z byłych wopistów posterunku w Cisnej, do rzadkości należały w tym czasie przypadki, gdy na drodze do Baligrodu żołnierze nie zostali ostrzelani przez banderowców.

1 KWIETNIA 1947 R.

Ciało Generała spoczęło na zawsze w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Fot. CAF

STYCZEŃ 1977 R.

Dmie dokuczliwy wiatr. Stoki i dolina, w której rozegrała się tragedia przed trzydziestu laty, pokryte śniegiem. Pośrodku pomnik (odsłonięty 15 lat temu) imitujący mury Grenady ze stylizowanym orłem wykutym z blach czołgowych w Zakładach Metalowych im. Świerczewskiego w Radomiu, a pośrodku głowa Generała zwrócona na pole jego ostatniej bitwy (...)

Opracował: **R. Zatorski**

Kamena str. 3

URZĘDNICY

Dokończenie ze str. 1

cuje, i irytowaniem się z powodu przerostów wykształcenia nad możliwościami jego wykorzystania, nawet w granicach tzw chłopskiego rozumu.

Za jeden z najcięższych obowiązków urzędnicy uważają siedzenie za biurkiem, będące wyrazem dyspozycyjności. Oczywiście zdają sobie sprawę, że na tym polega specyfika biura, lecz protestują przeciwko siedzeniu bezproduktywnemu. Tymczasem szefowie lubią widzieć swoich podwładnych z nosem w papierach i nie ma na to rady; czasem trzeba sobie sprawić teczkę-atrapę, by w każdej chwili ku zadowoleniu zwierzchnika zgłębiać jej pasjonujące wnętrze. Urzędnicy, którzy „nie mają już głowy do siedzenia" instalują sobie w szufladach książki, a jeden z lubelskich żeglarzy zrobił sobie sweter na zimowy rejs, trzymając robótkę na dnie biurka.

Jeszcze bardziej dowolnie spędzają czas urzędnicy odpracowujący godziny spóźnienia do pracy. Czas zmarnowany na oszukiwaniu szefów i dogadzaniu ich megalomańskiej próżności podtrzymywaniem wrażenia, że trzymają personel zawsze pracujący, potocznie nazywany jest godzinami seksualnymi. W istocie nikomu nie wychodzą one na zdrowie, bo najlepsza zabawa też kiedyś męczy, zaś oceniając prawidłowo realia biura, można by z pożytkiem dla urzędników i załatwianych przez nich spraw wprowadzić trochę unowocześnień. Dlatego z większym pożytkiem działają szefowie tolerancyjni, którzy rozumieją kilkunastominutowe spóźnienia, chwilowe nic nierobienie i respektują wyjścia z biura w godzinach pracy w celach prywatnych, byle podwładni wywiązywali się na bieżąco z obowiązków.

Tak właśnie toczy się urzędnicze życie w instytucjach, w których jest dużo pracy, w niektórych zakładach WSS „Społem", wydziałach Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego, w Okręgowym Zarządzie Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej oraz innych jeszcze firmach wiedzących, że niekiedy ich pracownicy padają z przepracowania na przysłowiową twarz. Bo obok urzędnika zmęczonego bezczynnością równie często można spotkać urzędnika zmęczonego robotą i ten dwustronny obraz jest chyba najbardziej typowy.

Styl urzędowania zawsze zależy od szefa. O dobrych szefach mówi się niewiele, lecz o złych można w nieskończoność. Najbardziej newralgicznym problemem jest zwykle dostęp do szefa w służbowych sprawach nie cierpiących zwłoki. O ile np. w Urzędzie Miejskim nawet do prezydenta można dostać się łatwo, w Urzędzie Wojewódzkim trudno już wypatrzyć wolną chwilę dyrektora wydziału. Podobnie niedostępni są szefowie w wielu innych instytucjach i niekiedy zdobycie podpisu wymaga dyplomatycznych wprost zabiegów. Są wprawdzie teczki dokumentów do podpisu, lecz — jak życie uczy — nikt przytomny pilnego pisma w nie nie wkłada. Istnieją też w niektórych firmach niepisane drogi szybkiego zdobycia parafki. Czasem opłaca się biegać za szefem „nieuchwytnym", który podpisuje bez czytania, niż powierzyć dokument szefowi „siedzącemu", z nudów studiującemu słowo po słowie, dla zasady zgłaszającemu obiekcje.

Generalnie urzędnicy bardzo narzekają na brak kompetencji uprawniających ich do podpisywania wysyłanych pism. W praktyce szefowie najczęściej składają podpisy bez czytania przedkładanych im papierków, więc urzędnicy tracą jedynie czas, bo i tak zawsze na nich spada odpowiedzialność za błędną decyzję.

Zdarza się, że odświeżanie autorytetów szefa przy każdorazowym podpisywaniu dokumentów przeradza się w nieprawdopodobne misterium. Urzędnicy odsyłani są z pismami do ponownego przeredagowania po dziesięć razy, gdyż przy każdym akceptacyjnym czytaniu szefowi coś się nie podoba. Raz jest to mało elegancki zwrot, raz mało służbowy, raz złe rozmieszczenie pisma, raz mało gładki papier, raz data dopisana długopisem, raz brak skrótu „ob" przed adresatem, który nie został magistrem. I tak raz po raz urzędnik ustawia się w kolejkę do maszynistki, potem do szefa, potem znowu do maszynistki i zastanawia się, po co marnuje cenny papier oraz czas. Do ewenementów należy zwyczaj, wprowadzony przez prezesa jednego z lubelskich sądów, rozliczania pracowników z papierów wyrzucanych pochopnie do kosza. Również z rzadka dociera do szefów świadomość, że celebrowanie, pieszczenie i pokazywanie się poprzez pisma wskazuje jedynie na ich kompleks zagrożonego „autorytetu" oraz maskowanie spraw leżących odłogiem. Logiczne i po polsku redagowanie pism od dawna jest w urzędach tematem tabu, gdyż specyficzny język urzędowy stał się slangiem, zaś gotowe zwroty wyręczają niekiedy zrutynizowanych pracowników w myśleniu.

Sprawne urzędowanie zależy także od innych upodobań i zasad szefa, który np. pozwala, by jego pracownicy byli władni, lub woli widzieć ich w roli bezwładnych. Przy zastosowaniu pierwszego wariantu w organizacyjnym modelu biura urzędnik cieszy się kompetencyjnością, lecz zawsze powinien zdawać sprawę czy dzieje się tak za sprawą jego predyspozycji, czy mu po prostu wolno. Mimo że to subtelne rozróżnienie wydaje się zabawne, w praktyce jest bardzo ważne, zwłaszcza jeśli szefem jest człowiek „starej daty". Dotyczy to szefów na wszystkich poziomach urzędowej hierarchii, którzy osiągnęli swój szczebel niekompetencji, wówczas bowiem załatwiający służbowe sprawy urzędnik powinien być dyplomatą. Na szczęście jednak coraz częściej urzędnik może dyskutować ze swoim szefem, choć najlepiej jeśli ten jest tylko jego kierownikiem. Ale, jak bezstronnie stwierdzają szefowie i szczerze zwierzają się ich podwładni, ponieważ każdy ma w sobie asekuranctwo, trzeba bardzo angażować się w załatwianie sprawy i chcieć je dobrze załatwić, żeby pokonać strach przed podpadnięciem.

Zresztą cokolwiek złego powiedzieć o panujących jeszcze w niektórych biurach feudalnych stosunkach — są instytucje rozsądnie łączące „proces urzędowania" z „załatwianiem petentów" w pozytywnym znaczeniu tego zwrotu. Coraz częściej nie przykłada się bezdusznie przepisów do życiowych spraw petentów i np. w wydziale Spraw Lokalowych UM można stosować przepisy możliwie elastycznie, zależnie od sytuacji na korzyść zainteresowanego. Naturalnie zawsze trzeba mocno uzasadniać tego typu zabiegi, nie każdemu więc się chce gimnastykować w ogólnych ramach prawa.

Poza odgórnymi uwarunkowaniami, z którymi muszą się liczyć pracownicy, właściwie każdy urzęduje jak umie. Tę oczywistą prawdę poznaje się przy pierwszej lepszej bytności w urzędzie, gdzie od ósmej do trzeciej można robić wszystko i jednocześnie nic, niezależnie od istotnych potrzeb. Bez względu na to, czy przy podziale zadań i kompetencji stosuje się strukturę wysmukłą (kierownik działu, zastępca, kierownicy sekcji itp.) czy płaską (jeden kierownik, reszta pracowników na równorzędnych stanowiskach), szybko można odróżnić urzędnika umiejętnie organizującego sobie pracę od takiego, któremu robota zawsze stoi w miejscu. I jasne jest, że bystry urzędnik dostanie więcej pracy, bo gdy jeden ciągle choruje, druga ma dziecko, trzeci opracowuje system na totka, a czwarty nie rozumie podstawowych zagadnień — ktoś musi zrobić co należy.

Jednocześnie pilne prace biurowe łączyć trzeba z przyjmowaniem petentów, więc przy niekorzystnym zbiegu okoliczności nawet najpilniejszy urzędnik zaczyna specjalizować się w kulturalnym spławianiu interesantów oraz umiejętnym „siadaniu na papierach"! Samo życie uczy go np., że papiery wpływające na biurko powinien układać nie według ważności spraw samych w sobie, a ważnych dla niego. I tak najpierw odkłada się sprawy mało pilne, następnie te, które powinny być załatwione w określonym terminie, potem planowe, a na samym końcu do rozpatrzenia natychmiastowego. Rasowy urzędnik nie może obkładać się papierami, musi umiejętnie nimi manipulować. A że cierpią na tym ludzie stojący za powierzonymi mu sprawami, to już wynaturzenie właściwe specyfice urzędowania.

Jak mówią organizatorzy Ośrodka Doskonalenia Kadr w Puławach w pewnym momencie sprawy prowadzone przez niektórych urzędników zaczynają żyć własnym życiem, nabierać nowej wartości mało związanej z rzeczywistością, która je stworzyła, a im wyżej trafiają — stają się bardziej wypreparowane i wygładzane, tak że trudno czasem pojąć, czy nie zatraciły pierwotnego sensu. Są też urzędnicy patrzący na swoją pracę niemalże przez końskie klapy przy oczach. Interesuje ich wyłącznie to, co mają na biurku, jeśli zaś zaintryguje sprawa spoza własnej działki, to prywatnie. Szczęśliwie, zwłaszcza wśród młodych urzędników, często zdarzają się odruchy spontanicznej pomocy i współpracy wybiegającej poza przydział obowiązków.

Anachronizmy w urzędniczej mentalności, z których w przypływie samokrytyki śmieją się sami bezpośrednio zainteresowani, powodują, że mimo ostatnich reorganizacji niewiele zmieniło się w szybkości załatwiania spraw. W jednej z dużych lubelskich spółdzielni np. obsługa administracyjna niechętnie używa telefonów, bardziej wierząc w skuteczność interwencji pracownika specjalnie wysłanego w teren. Oddelegowany z aktami referent tłucze się więc autobusem kilkadziesiąt kilometrów, żeby w dwadzieścia minut wyjaśnić interesujący zwierzchników problem. Po pewnym czasie komplikowanie sobie pracy staje się już tak oczywiste, że można nie dziwić się, dlaczego przy kupowaniu znaczków skarbowych na druku zawierającym prośbę o zaliczkę trzeba zebrać podpisy: kierownika sekcji, kierownika działu, księgowej, prezesa. Również rozliczenie delegacji, traktowane jako poważna operacja finansowa, wymaga paru podpisów, wpisania do specjalnego zeszytu w księgowości, trzech dni czekania na wypisanie w dwu egzemplarzach specjalnego dokumentu: kasa wypłaci. I dopiero wówczas dostaje się pieniądze. Uproszczenie tych operacji oraz wielu im podobnych jest oczywiście możliwe, lecz zapewne równałoby się odarciu

Samochód wystawia rachunek

Dokończenie ze str. 1

eksploatowali samochody, natężenie ruchu zmalało, relatywnie też spadły obroty CPN).

Strata mienia społecznego czy prywatnego, kalectwo czy śmierć człowieka nie mogą być obojętne. Jednak, według fachowców, ze statystycznego prawdopodobieństwa wynika, iż przy ilościowym postępie motoryzacyjnym pewna, rosnąca nawet, liczba wypadków drogowych jest, niestety, zasadniczo nieunikniona. Toteż wyliczenia dotyczące Lublina mogłyby nawet nie alarmować, gdyby nie fakt, że w terenie sytuacja jest proporcjonalnie gorsza i skutki tragiczniejsze. A przede wszystkim sporej części wypadków, tak w mieście jak i w terenie, dałoby się w ogóle uniknąć.

Na podstawie artykułu 24 ustawy o Prokuraturze PRL (z 14 IV 1967 r.) prokuratury prowadzą w tym zakresie bardzo intensywną działalność profilaktyczną. W lubelskiej Prokuraturze Rejonowej udzielają mi informacji dwaj młodzi podprokuratorzy: Jacek Bownik i Marian Peret, pracownicy działu wypadków drogowych. I widzę, że organa ścigania muszą niejednokrotnie zapobiegać bałaganowi i niesumienności, lęgnącym się w instytucjach oraz przedsiębiorstwach, a ruch drogowy jest dziedziną najszerszej prokuratorskiej profilaktyki, co stanowi dla mnie pewne zaskoczenie.

Oto w Bełżycach na dworcu PKS zdarzyły się dwa wypadki (w październiku i listopadzie ubiegłego roku). Zostało ranne dziecko i poniósł śmierć dorosły człowiek, wepchnięty pod koła manewrującego autobusu przez niecierpliwy, napierający tłum. Gdyby na placu manewrowym były odpowiednie zatoki dla autobusów, zabezpieczone palikami i łańcuchami, mogłoby nie dojść do tragedii. I o takie zagospodarowanie dworca w Bełżycach zwróciła się prokuratura w pisemnym wystąpieniu do dyrektora Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa PKS w Lublinie. Z odpowiedzi wynikało, że nie bardzo wiadomo, kto ma się czuć gospodarzem odpowiedzialnym za dworzec w Bełżycach: komunikacja czy władze administracyjne miasta? I prokuratura wysłała kolejne wystąpienie — do Zjednoczenia PKS w Warszawie, niech tam rozstrzygną.

Do dyrektora „Transbudu" w Lublinie wystąpiono w sprawie bazy w Biłgoraju, gdzie kontroler techniczny pracuje tylko 8 godzin, a samochody wychodzą całą dobę. W ośrodku szkolenia kierowców przy PTHW interweniowano w związku z wypadkiem, jaki spowodowała kursantka. Była to dopiero jej czwarta jazda, która — w myśl przepisów szkoleniowych — powinna się odbywać po terenie zamkniętym, a nie na ulicy w ruchu otwartym. Ba, nawet o egzamin kontrolny w stosunku do kierowcy — instruktora lubelskiego PZMot występowała prokuratura!

Nierzadko śle się wystąpienia do Miejskiego Zarządu Dróg i Mostów oraz Rejonu Dróg Publicznych. Chodzi przede wszystkim o źle oznakowane bądź w ogóle nieoznakowane roboty drogowe: brak zapór, znaków, oświetlenia nocą. Wielokrotnie już zdarzały się wypadki z tym związane, największe straty na zdrowiu ponoszą motocykliści, którzy wpadają na takie przeszkody. W październiku ubiegłego roku na odcinku Łuszczów — Janowice stała nocą pośrodku szosy maszyna drogowa, w dodatku nieoświetlona, i motocyklista, oczywiście, ciężko się potłukł.

Prokuratura w drastycznych wypadkach występuje o dyscyplinarne ukaranie winnych, nie tylko o wzmożenie kontroli. Wobec kierownika robót i operatora maszyny na trasie do Janowic prowadzono nawet dochodzenie; warunkowo umorzone na rok próby. Obaj musieli zapłacić po 1500 złotych na cele społeczne (PCK). I właśnie to warunkowe umarzanie postępowań i opłaty na cele społeczne są — obok wystąpień pisemnych — ważnym środkiem oddziaływania profilaktycznego. Strach tylko, że trzeba to stosować wobec ludzi, których praca ma służyć właśnie poprawie bezpieczeństwa drogowego.

8 października 1975 roku na jezdni do Prawiednik nastąpiło zderzenie boczne dwu ciężarówek; kierowcy odnieśli obrażenia, straty oszacowano na około 190 tysięcy złotych. Postępowanie przeciwko kierowcom umorzono z braku dostatecznych dowodów winy, okazało się bowiem, że jechali pra-

wdzięków. Zdaniem urzędników bowiem ze zbędną biurokracją jest podobnie jak ze zbyt formalistyczną dyscypliną: gdyby ich nie wymyślono, nikt by nie wiedział, że pracuje.

Wyodrębnienie pracy zbędnej od rzeczywistej najczęściej i najbardziej intryguje urzędników młodych. Oni też skwapliwie zapytują o przydatność wykonywanych czynności, zwłaszcza gdy żmudnie robią zamówione przez zwierzchników analizy, potem zupełnie niewykorzystywane. Przy okazji przyznają się też do robienia sprawozdań pod czytającego, wymyślając fikcyjne dane, które są akceptowane chętniej niż prawdziwe. Idąc na łatwiznę, fałszującą co prawda obraz rzeczywistości, lecz nikt nie zwraca na to zbytniej uwagi, gdyż w mnogości najprzeróżniejszych wyciągów i zestawień trudno zachować orientację.

Drugim dopustem urzędników, zwłaszcza z wojewódzkiego szczebla administracji terenowej, jest robienie programów. Urzędnicy ścigają się wprost w zapisywaniu stron określających ich działalność na najbliższe lata, ponieważ im grubszy program, tym mniej szans, że zostanie przestudiowany, dzięki czemu urzędnik zostanie pochwalony przynajmniej za pracowitość. Urzędowanie na pokaz nie przynosi więc większego pożytku i komplikuje efektywne posuwanie naprzód codziennych problemów. Kiedy zostanie przepatrzone pod kątem reorganizatorskim — chcieliby chyba wiedzieć nie tylko rozsądni urzędnicy, ale i petenci. Bo nie dość, że pracę biurową trudno zmechanizować, że nowoczesna technika trafia do urzędów powoli, choć są dyrektorzy, którzy maszyny do liczenia uważają już za podstawowe minimum — więcej szkody przynosi urzędowaniu tradycyjne marnowanie czasu i energii na ośmieszane latami urzędasowstwo. Niejeden urzędnik dla pośpiechu sam sobie jest maszynistką i gońcem, rozumie że musi pieczętować koperty i naklejać na nie znaczki, ale nie chce rozumieć, że jego wielogodzinne ślęczenie, często po godzinach pracy, będzie niepotrzebne. A mimo to chociaż ciężko uwierzyć, że w jednym z lubelskich urzędów dla oszczędności przewraca się koperty na lewą stronę i ponownie puszcza w obieg — urzędników obciąża się zleceniami, których wykonanie nie ma realnego uzasadnienia.

Aby rekompensować sobie wszystkie zawodowe melancholie — urzędnicy wszczynają niekiedy ożywioną działalność towarzyską, ciągnącą się nawet kilka dni. Nie są to już wprawdzie czasy dawnej świetności z daniami na gorąco, kanapkami i wódeczką własnej roboty, lecz na zapytanie „która godzina?" zawsze znajdzie się ktoś, kto odpowie: „nie wiem, ale też bym się napił", po czym następuje zrzutka. Jak twierdzą wyjątkowo sfrustrowani, tylko przy takiej okazji można przekazać sobie parę relaksujących prawd o życiu instytucji; postraszyć się dyrektorskim powiedzonkiem „Oj, bo będzie redukcja", wysnuć wniosek, że jeśli się komu coś nie podoba, zawsze dostaje więcej roboty, że największy „kabel" do szefa ma zwykle najniższe wykształcenie, dając do zrozumienia, iż chodzi o powszechnie znaną szarą eminencję w biurze, że bez względu na jakość pracy — nagrody dostają nie szeregowi pracownicy, a funkcyjni, że... ech — o czym tu mówić, gdy alkohol stygnie.

Jednak picie w biurach i urzędach nie jest już traktowane jako wyjątkowa atrakcja. Powszechnie uważa się, że bezpowrotnie minęły czasy spontanicznego świętowania prywatnych uroczystości, wieczorków artystycznych u księgowego czy radosnych wycieczek niedzielnych. Dzisiaj — twierdzą urzędnicy — wszyscy mają mniej czasu, a i podejmując nową pracę mają już własne kontakty towarzyskie, nie potrzebują biurowej integracji. Może dlatego trudniej organizować zbiorowe wyjazdy i zabawy. Wyjątek stanowią tylko imieniny, które przy pozorach powściągliwości zawsze muszą się odbyć według ustalonego rytuału. Wiadomo przecież, że solenizant przyjdzie z teczką, na biurko postawi cukierki, do szafy wstawi winiak i zacznie swój wyjątkowy dzień pracy.

Obyczajowość to osobny, jakże wdzięczny rozdział w nudnym życiu urzędników. Dostosowana do warunków lokalowych i personalnych, przy sprzyjającej atmosferze rozkwita wspaniałym wachlarzem możliwości. Po codziennej prasóweczce, czyli przeczytaniu powieści w odcinku i napoczęciu krzyżówki jada się przyniesione z domu śniadanko. Jeśli jest to jedno z biur DOKP, w którym dla oszczędzania energii zmniejszono napięcie w sieci, towarzystwo zbiera się nad czajnikiem gotowanym na gazie w specjalnej pakamerce. Czajnik musi być dopilnowany, bo bez wrzątku na herbatę i kawę prawdziwy urzędnik nie może się rano obejść. Przy okazji następuje wymiana najświeższych doniesień z frontu niemowlęcego, zaopatrzeniowego, erotycznego i paru innych równie ciekawych.

Przy biurku zaś, gdy już jedna pani zostanie oddelegowana po ciastka (jeśli pączki to z „Ratuszowej", jeśli napaleonki to z prywatnego sklepiku przy ul. Narutowicza), w tak zwanym „międzyczasie" robi się spinane zszywką składanki z przepisów kulinarnych i książeczki dla dzieci oraz tępą zapałką odrysowuje się przez kalkę modele z żurnali. Panowie zaś wewnętrzne drzwi szaf uzupełniają co tydzień nowymi aktami z podorganu „Razem". Koło południa pojawiają się pierwsze kobiety z wypchanymi torbami, prowadząc tzw. handel obnośny. Wówczas panowie wypraszani są z pokoi, gdyż panie przymierzają. W ten sposób nie ruszając się z biura można kupić modr , bluzkę, a przy dobrych układach także cielęcinę, pierścionek i marki, które przydają się przy organizowaniu zbiorowych wyjazdów po wełnę do NRD. W porze obiadowej każda rasowa urzędniczka musi wykonać parę telefonów: a czy zupka nastawiona, niech Basia odda zieloną spódnicę do pralni, może przyszła terakota, wreszcie do Ziutka — czy na pewno kocha. Liczba prywatnych telefonów jest zwykle większa niż służbowych, co jest zrozumiałe, zważywszy, że tematy towarzyskich rozmów są atrakcyjniejsze. Tuż przed trzecią zaczyna się poprawianie urody, o godzinie trzeciej wszyscy w paltach z ręką na klamce gotowi do wyjścia.

Przeplatając sceny gnuśnego urzędniczenia z wesołymi scenami życia około-biurkowego, można stworzyć sobie całkiem barwny, lecz jednocześnie przygnębiający portret środowiska ludzi, którym musimy powierzać — oby najrzadziej — nasze sprawy. I chociażby mówić, że na relikty zamierzchłego stylu urzędowania nie ma dzisiaj czasu, zawsze znajdzie się jakieś biuro, w którym urzędnik ma jaśniepańskie manie- i przeczołga petenta z całą surowością swego majestatu. Również przy [illegible]strzejszych protestach przeciw pa[illegible]eniu na współczesnych urzędników [illegible]ami sprzed trzydziestu lat — trudno np. nie dostrzegać jawnych przeżytków już nie w zachowaniu przedwojennej struktury stanowisk na kolei (asystent, starszy asystent, adiunkt, referendarz, przy czym specjalnie nie wiadomo czym różni się jedna posada od drugiej, pominąwszy względy finansowe i znajomościowe) ale choćby w utrzymaniu dorocznego dyrektorskiego objazdu salonką wszystkich stacji z uwzględnieniem pełnego ceremoniału pobieżnej kontroli, dokonywanej przez przyboczną świtę.

Oczywiście wszystkie bardziej lub mniej drażliwe przeżytki i „unowocześnienia" pracy biurowej jedynie dla wykazania dobrych chęci lub oryginalnego pomyślunku nie negują sukcesów, jakie powoli przynosi trend rozsądnego przekształcania administracji w użyteczniejszy aparat. Młodzi ludzie, którzy zasiedli w biurach i instytucjach nawet z konieczności, cenią sobie czas, lubią operatywność i chcą działać skutecznie. Wśród dzisiejszych urzędników jest wielu ludzi naprawdę inteligentnych, wrażliwych i o wielostronnych zainteresowaniach, których na dobrą sprawę mogliby im pozazdrościć przedstawiciele bardziej uznanych zawodów. Ale urzędnikom ciągle za mało się ufa, nie daje się im pełniej odpowiedzialności za kierowanie powierzonymi odcinkami pracy. Urzędnikom zdolnym nie pozwala się w pełni wykorzystać inicjatywy i zdecydowanie ogranicza ich możliwości. Jak mówią wieloletni praktycy urzędowania — po prostu poniżej dyrektorskiego szczebla nie ma polityki kadrowej. Nic więc dziwnego, że gdy bojowi urzędnicy zmęczą się przebijaniem prywatnymi sposobami starych struktur, bo ich zabiegi w dobrej wierze zostają uznane za podskakiwanie — pewnego dnia spokojnie siadają za biurkiem i razem z drugim śniadaniem wyciągają zarękawki — symbol urzędowego tradycjonalizmu w najbardziej przygnębiającym wydaniu.

Anna Bocian

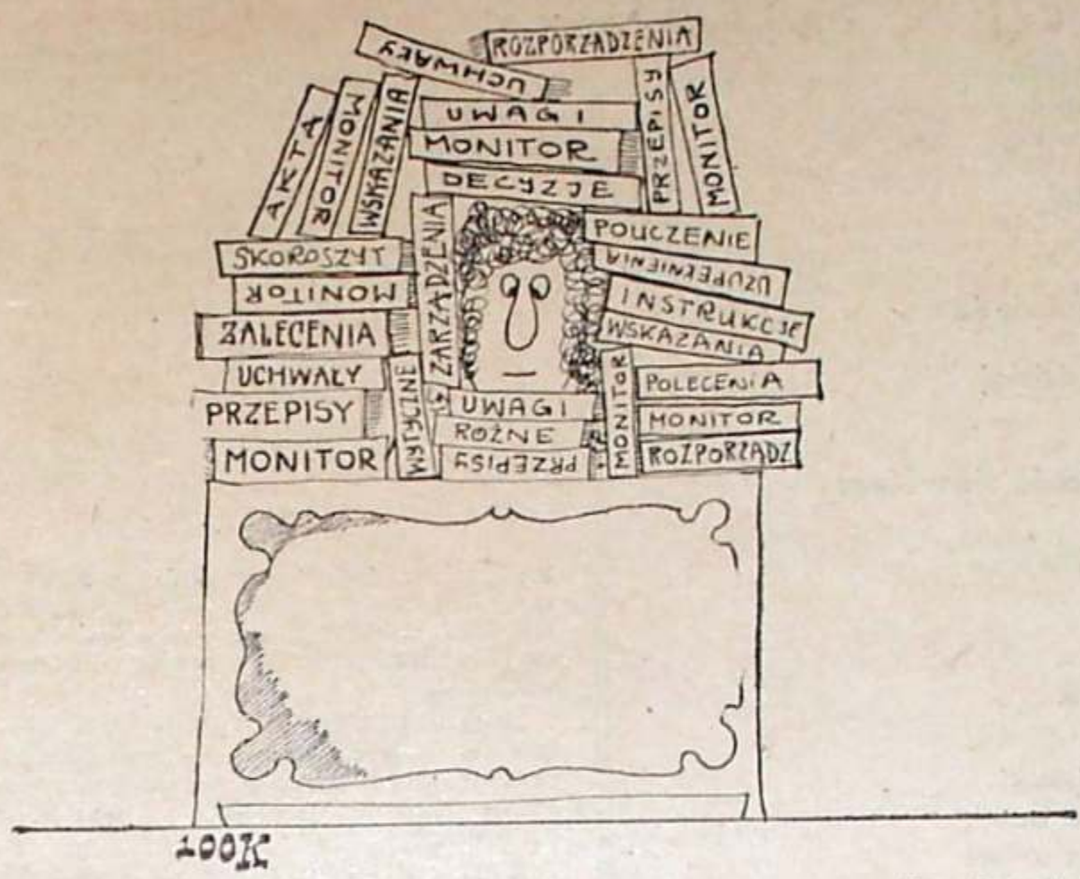

Rys. Andrzej Stok

widłowo, ale łączna szerokość obu pojazdów wynosiła 4,88 m, natomiast jezdni w tym miejscu — 4,60 m tylko! Prokuratura wystąpiła do Wydziału Komunikacji o poszerzenie jezdni.

Najwięcej wystąpień do Wydziału Komunikacji Urzędu Miejskiego idzie jednak w sprawach wadliwego usytuowania przystanków i przejść dla pieszych, kiosków „Ruchu", brak zatok dla pojazdów komunikacji miejskiej, złego stanu nawierzchni jezdni (szczególnie po zimie). Obywatel płacący podatek drogowy ma prawo wymagać, by jeździło mu się po mieście bezpiecznie, bez łamania resorów, dostatecznie oświetlonymi ulicami.

Osobna sprawa to sygnalizowanie przez prokuraturę wadliwego oznakowania ulic i dróg. Są miejsca, w języku milicyjnym zwane „rykowiskami", gdzie nie ma kierowcy, żeby mandatu nie zapłacił, jeśli akurat nie zna pułapek, stworzonych przez wadliwe oznakowanie. Notabene dawno już się domaga uregulowania sprawa wprowadzenia znaku „obszar zabudowany". Kwestia bowiem prawidłowej oceny przez kierowcę w ruchu, czy dany obszar już, czy jeszcze nie spełnia warunków zabudowanego, jest mocno wątpliwa. Właściwie trzeba by jeździć z taśmą mierniczą i gdy milicjant wyciąga mandat, mierzyć, liczyć, debatować...

Istnieje, oczywiście, cała dziedzina wypadków drogowych zawinionych przez kierowców. Najczęściej prokuratura występuje wtedy o badania psychologiczno-lekarskie, nierzadko o egzamin kontrolny I nie jednemu obywatelowi trzeba wpisać do prawa jazdy adnotację: jazda tylko w okularach; albo: jazda tylko przy świetle dziennym. Niejeden musi zrezygnować z zawodowego prawa jazdy. Niejeden może prowadzić zawodowo tylko określony rodzaj pojazdów, jak ten kierowca, u którego lekarze wykryli „dość słabą motorykę i trudności w ocenie szybkości oraz odległości w sytuacjach wymagających szybkiego podjęcia decyzji".

Inna sprawa, że kontrolne badania lekarskie kierowców zawodowych to w ogóle kwestia dosyć u nas zaniedbana, na ogół z winy przedsiębiorstw. Nie mówiąc już o badaniach lekarskich związanych z wydawaniem praw jazdy kat. AB (dawne amatorskie). Gdy lekarz w takim przypadku nie napisze, że powtórne badanie musi się odbyć za pięć lat, wówczas obywatel, po zdaniu odpowiedniego egzaminu, uzyskuje prawo jazdy ważne bezterminowo, a lata lecą, wzrok się psuje, mięśnie więdną... Do egzaminu praktycznego na prawo jazdy kat. AB można też przystępować, posiadając samochód, gdy instruktor stwierdzi, podczas godziny czy dwu, że umiemy kierować pojazdem. Ale ten przepis zakłada, że uczyliśmy się kierować, nie mając prawa jazdy! W ogóle ranga owego dokumentu u nas nie zawsze bywa należyta, a słyszę, iż w Stanach Zjednoczonych na przykład prawo jazdy, z reguły terminowe, starcza nawet za dowód osobisty.

Tak czy owak prokuratura robi, co może, by profilaktykę w ruchu drogowym postawić na należytym poziomie. Prokuratorskie wystąpienia ex post, wynikające z konkretnych wypadków drogowych, zmierzają do tego, by nie było następnych wypadków z tych samych przyczyn. Istnieje obowiązek odpowiedzi ze strony adresatów wystąpień, jak usunięto owe przyczyny. Obowiązek na ogół przestrzegany przez instytucje i przedsiębiorstwa, ponieważ prokuratura jest silnym partnerem. Trudno jednak nie zauważyć, jak mało czasem potrzeba, by w ogóle wypadków uniknąć — właściwej organizacji pracy i dyscypliny w przedsiębiorstwach i bazach transportowych, w instytucjach czuwających nad stanem dróg i ulic.

Maciej Podgórski

Bogusław Wróblewski

TYLKO PRZYJACIEL

Markowi S.

pozwolić mówić
i słuchać tak
by dać
cząstkę spokoju

mówić tak
by pozwolić słuchać
i dać
cząstkę spokoju

milczeć tak
by uzasadnić brak odpowiedzi
i dać
cząstkę spokoju

albo lekarstwem uczynić niepokój

potrafi

Maksim Tank

* * *

Prawo przyciągania ziemskiego
poznawaliśmy,
kiedy spadały jabłka,
kiedy padaliśmy sami
szczęściem odurzeni
w złociste trawy,
kiedy padaliśmy pokotem
pod ogniem karabinów maszynowych.

Ale wzlatując w kosmos
upewniliśmy się, uwierzyliśmy,
że prawo to trzeba dopełnić
przyciąganiem łozy nad rzeką,
szumem deszczu,
zapachem świeżego chleba,
pieśni echem,
ciepłem rąk towarzyszy,
a ponadto przyciąganiem światła
zapalonego w chacie,
gdzie słychać jeszcze do dzisiaj
skrzypienie twojej kołyski.

I dlatego prawo przyciągania ziemskiego
niełatwo określić,
tak jak niełatwo wyznaczyć
kwadraturę szczęścia.

* * *

Jak szybko burza gna majowa!
Chlusnęła z cebra tuż nad nami,
Nawet cię nie zdążyłem schować
Pod drzew życzliwych konarami.

Stoisz przede mną przemoknięta
Znajoma mi — i nieznajoma,
Spowita tęczą, gniewem spięta,
Wsłuchana w chmurne brzmienie gromu.

Skowronki gaj nutam darzą
Weselnych skrzypiec wtórząc echu.
Zaczekaj! nie ocieraj twarzy,
Póki jest w blasku jak w uśmiechu.

* * *

Jaki ślad może
Wypalić na drzewie błyskawica,
Na kamieniu — wyryć wichura,
Na ziemi — wypłukać deszcz,
Na sercu — radość i zgryzota wypisać.

Rozumiem, gdy patrzę na twarz
Mego starego ojca.

* * *

Moja droga do domu
Przewidziana na jeden dzień
I jeszcze na jeden sen,
Na jeden popas
I na jedną pieśń.

Dziś ją znów odmierzam
Tą dawną miarą,
Choć mógłbym skrócić.
Przy dzisiejszych środkach komunikacji
Nie powinna trwać
Nawet trzech godzin.

Ale wtedy
Byłbym w moim życiu uboższy
O tyle niezapomnianych dni,
Snów, popasów, pieśni,
Że aż strach pomyśleć.

1976

PRZEKŁADY JERZEGO PLEŚNIAROWICZA

Ojciec

Henryk Czarnecki

MATKA pachnie bajkami i niemi, ojciec klapą marynarki. Ten zapach utrwala się, przyrasta, staje się nieodzownie potrzebny. Odpadnie już w życiu wszystko po kolei, ale strzęp tamtej marynarki zostanie. Z charakterystycznym zapachem, którego zapomnieć nie można.

Ojciec istnieje zawsze. Nawet, gdy go już nie ma. Gdy pojawił się tylko na chwilę, przesunął się obok dzieciństwa. Wtedy do klapy marynarki można dorysować go zresztą, dopowiedzieć go sobie, ulepić od nowa z kolorowej plasteliny, która w małych palcach na poczekaniu przybiera potrzebne kształty. Nie może niczego zabraknąć w świecie, w którym powinno być wszystko. Syn się nie zgodzi na luki. Jeśli istnieją — wypełni je szybko. Jak psiak się położy i będzie pilnował.

Najlepiej, żeby był pilotem. W hełmie ze słuchawkami. Święty Mikołaj przyniesie na gwiazdkę samolot, fotografię samemu już można wyciąć z czasopisma.

A potem — w niego uwierzyć. To już najłatwiej. Do tego nie potrzeba nawet nożyczek. Ani ołówka, ni kredki. Skoro bowiem go nie ma, to może być wszystkim. Wystarczy wyciągnąć go z kącika, gdzie leżą zabawki, stworzyć go ze starego krawata, który zawieruszył się w szafie, zacisnąć delikatnie powieki, żeby przez sen nie uleciał i już nazajutrz zjawi się w przedszkolu.

— Mój tata jest kierowcą.
— Mój kolejarzem.
— Mój naprawia telewizory.
— A mój jest pilotem!

Teraz aktor musi się wcielić w syna pilota, a któż potrafi, skoro przed chwilą było się psem najprawdziwszym, komórką do wynajęcia? Opowieści już toczą się same: w strzępach, w większych kawałkach, ze słuchawkami lub bez — można już stać się kimś w tej społeczności z ojcami, gdy w domu tylko babskie szmatki, guziki, nici i dziecinne ubranka. Żeby chociaż gdzieś kawałek prawdziwej maszynki do golenia, pudełko z obcęgami i młotkiem, męski w przedpokoju bałagan, kawałek kłującej brody na dobranoc, żeby się przyśnili brodaci rycerze...

Taki wysterylizowany ze śrubokrętów dom jest mdły, jak kasza na mleku. Ktoś przecież w domu powinien się potknąć z hałasem o dywan, wylać szklankę z herbatą na obrus, zadeptać podłogę. Tego wszystkiego mama sama nie zrobi. Z mamą to nawet nóg porządnie przemoczyć nie można. Grzecznie poukładane serwetki, wazonik z kwiatami, prosto, czysto i symetrycznie, a tu trzeba także coś basem, mocno, tubalnie. Dopiero to wszystko do kupy — z basem, z kwiatkami — tworzy sens. Kogoś silnego musi się przecież potrzymać za rękę, gdy wiatr zrywa dachy, gdy koleś oko podbije.

— Poczekaj, tylko przyjdzie mój tatuś...

Ponieważ jednak nie przyjdzie, trzeba samemu uregulować rachunki. Za podbite oko i coś jeszcze dla kolesia na zapas. Bo dwa razy jednym ojcem straszyć nie można na próżno.

Trzeba go także kiedyś pokazać. No to co, że nie ma go w domu? Ale jest na fotografii. W hełmie ze słuchawkami.

— To właśnie mój tata, widzisz?

Nawet kłamać nie musi, bo zdążył w niego uwierzyć. Świat chcenia jeszcze szeroko zachodzi na świat rzeczywisty, sen miesza się z jawą — w tym wieku śpi się jeszcze dwanaście godzin i łatwo pomylić granicę między snem a tym, co istnieje naprawdę. Tylko mamie nie trzeba nic mówić. Mogłaby coś zepsuć, zrzucić na ziemię, gdy lepiej jest w chmurach.

Dziecko ma dwie nogi, dwie ręce, dwoje oczu — musi mieć także dwoje rodziców. Choćby na fotografii, której nie wolno mu zniszczyć.

Dopiero w szkole — prawdziwe książki, prawdziwy zeszyt, do kąta trzeba odłożyć zabawki. Czas teraźniejszy z ojcem trzeba wymienić na przeszły. Żeby się z czymś nie wysypać: często wpada ktoś z kolegów, mama otwiera, wciąż tylko mama i mama, na stole pudełko z niemi, guziki, naparstek. I to głaskanie po włosach.

A trzeba, żeby ktoś szturchnął go w żebro, uścisnął w dłoniach, aż kości zatrzeszczą, huknął mu basem do ucha.

— A ten pilot, to kto?

— Mój ojciec.

Tatusia wymienił na ojca: bardziej po męsku to brzmi.

— Fajny.

— No... Zablokowało mu stery. Wyskoczyć nie mógł, bo leciał nisko.

Krótko, bez cackań, basowo. Ukłuło coś w sercu, gdy po raz pierwszy go grzebał, ale potem już przywykł i bez wrażenia wyciągał ojca spod rozbitego kadłuba. Trudno. Ojciec też musi coć zrobić dla niego, skoro nie może pójść z synem w niedzielę na spacer, żeby chłopaki widzieli, ani mu przynieść choinki na święta.

Fot. Janusz Mendychowski

Witold Zechenter

KILKA NUT

Tych kilka nut
wymknęło się z telewizora
wczoraj?
przedwczoraj?
Tych kilka nut
tłucze się nocą o ściany
a w dzień ucieka
po kątach
Tych kilka nut
grał ktoś nieznany
a w moje życie zaplątał
tych kilka nut.

ZA CZARNĄ CHMURĄ...

Za czarną chmurą zapomnienia
idą uśpione wierzby miedzą
Za czarną chmurą zapomnienia
strachy na wróble kuśtykają
Za czarną chmurą zapomnienia
lecą w milczeniu czarne ptaki
Za czarną chmurą zapomnienia
czołgają się marzenia ślepe
kalecząc się o żwir
o gruz
w bezładnej tłocząc się gromadzie
coraz to słabsze
coraz cichsze
za czarną chmurą zapomnienia.

ZMIERZCH

Nikły cień
na półce obok książek
coś zatańczyło na ścianie
ciche
dalekie
wołanie
zgarbiony wiersz

Powoli do pokoju
wżeglował
zmierzch.

„Stabilizacji i szacunku..."

Tadeusz Graba

W LUBLINIE polecają Józefa Smolarza. „Jak najbardziej. Dobry rolnik, właśnie zaczął hodować owce, już ma jagnięta. Jak najbardziej", zachęca pracownik wojewódzkiej administracji rolnej.

„Do Smolarza?", zafrasował się naczelnik gminy Niemce, jednej z największych na Lubelszczyźnie, liczącej 28 wsi. „No dobrze. Proszę poczekać, zadzwonię po przewodniczkę, bo sam pan nie trafi. Nie, to nie jest tak daleka droga, zresztą w stronę Lublina. Ja nie mam, niestety czasu zaraz zaczyna się egzekutywa". Magister inżynier Andrzej Ciota wykręca numer telefonu budynku, w którym urzęduje służba rolna gminy.

Władza w Niemcach zajmuje cztery osobno stojące obiekty, rozrzucone o kilkaset, albo i więcej metrów od siebie, a na dodatek dzierżawione od prywatnych właścicieli. Niemce leżą o 13 km od Lublina, tyle samo drogi dzieli je od powiatowego niegdyś Lubartowa, więc o budynkach dla administracji nikt tutaj nigdy nie myślał, bo i po co skromnej osadzie takie inwestycje?! Teraz jest inaczej, teraz nawet korytarz Urzędu Gminnego służy jako biuro, konkretnie jako punkt przyjmowania podatków i innych świadczeń od rolników.

„Ja wiem, że pan bez pieniędzy nie chodzi", opędza się kasjerka przed jakby nadmierną życzliwością jakiegoś petenta. „Jak pan nie chce tak, to niech pan idzie do naczelnika". Propozycja nie trafia do przekonania rolnika, który załatwia sprawę i żegna. Zaraz pojawia się następny: „Znów napisaliście na wezwaniu Cichosz, a ja się przecież nazywam Cichacz!" W parterowym dworku w Niemcach, na dodatek w korytarzu, jeszcze raz przekonuję się o potędze telewizji — panie prezesie Cichosz z „Wielkiej Gry".

„Zaraz tu będzie referentka, która poprowadzi pana do Smolarza", mówi tymczasem naczelnik Ciota. „Co to za obraz? Nie wiem". Wiszące na ścianie płótno — wyabstrahowane kwiaty lub martwa natura — nie posiada podpisu, więc skąd ludzie mają wiedzieć, kto je namalował?! Poza tym magister naczelnikuje w Niemcach dopiero od lata minionego roku, przeniesiony tutaj z Lublina. Zresztą w gminie jest sto ważniejszych problemów, na przykład chłopo-robotnicy, którzy setkami dojeżdżają do pracy w fabrykach czy na budowach wojewódzkiego miasta, choć także Lubartowa.

„Jeszcze raz przekonuję się o potędze telewizji — panie prezesie Cichosz..."

Fot. Sławomir Grünberg

Naczelnik spieszy się na egzekutywę, zatem można posłuchać, co tam takiego wydobywa się z radiotelefonu, stojącego pod oknem. Aparat łączy Niemce z Lublinem i wszystkimi pozostałymi gminami województwa, ale teraz właśnie tylko szumi i trzeszczy. „Nie, zazwyczaj odbiór jest dobry", informuje urzędniczka, która weszła do pokoju. „Czy to wygoda? I tak i nie. Czasami taki jest natłok poleceń i okólników, że ręka boli od notowania. Dysponujemy poza tym telexem, który stoi na poczcie. Ale dzisiaj od kilku godzin linia jest zajęta i nie ma mowy o kontakcie z Lublinem."

Jest już pani referentka służby rolnej, więc jedziemy w pola fiatem 125p, wozem, jak wiadomo, nisko zawieszonym i o delikatnej karoserii. Zmierzamy do Dysa, drogą pełną przełomów i zalaną wodą, ale nie tak w końcu straszną. Referentka rozgląda się bacznie wokół, bo towarzyszy mi w zastępstwie właściwego instruktora, który gdzieś wyjechał. A ona ten teren zna tylko co nieco. Więc może zatrzymajmy ten duży traktor z przyczepą na wolce i zasięgnijmy języka. „Przecież to właśnie Smolarz!", cieszy się przewodniczka.

Witam się z rolnikiem, człowiekiem około czterdziestki, krępym, mocno zbudowanym, średniego wzrostu. Mówię, że jestem z „Kameny", a Smolarz nie prosi o komentarz na temat tytułu i profilu pisma. „Proszę bardzo za mną, żużlówka nieźle się trzyma, powinniście dojechać".

Po 300 metrach jazdy fiat zapada się przednimi kołami w przełom i koniec zabawy. „Jaki koniec?!", pyta Smolarz z pewnym ironicznym rozbawieniem. Podchodzi do samochodu od przodu, podnosi go i lekko spycha do tyłu. „Jak byłem w wojsku, to z Baszanowskim ciężary rwałem", wyjaśnia zaskoczonej widowni. Wypełniamy dół żużlem i kamieniami, ruszamy.

Ale 30 metrów od zabudowań stajemy na dobre, bo na ten końcowy odcinek drogi zabrakło żużlu, dalej jest błoto po kostki, albo wyżej. Pakujemy się więc na traktor.

Zabudowania Smolarza stoją w odosobnieniu — jak i pozostałe gospodarstwa tej części wsi, wsi dużej, bo obejmującej około 320 numerów. Na podwórku zalega błoto i resztki materiałów budowlanych. „Owce lubią miękkie podłoże", wyjaśnia Smolarz. „Kilka miesięcy temu postawiłem owczarnię — z drewna, ocieplaną watą szklaną. Przed tym obejrzałem kilka obiektów nagrodzonych „złotymi wiechami". Były murowane, ja zdecydowałem się na drewno, bo to lepszy materiał. Tymczasem trzymam owce w dawnej chlewni, bo jest ich na razie za mało na tak obszerne pomieszczenie — zmarzłyby. Ile kosztowała owczarnia? Dużo", urywa Smolarz i czuję, że dalsze pytanie go o nakłady finansowe przyjmie jako wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

Owczarnia liczy 30 metrów długości, na oko biorąc, i na razie pełni funkcję garażu dla nysy — pięknie wymalowanej, błękitnej. „Ile kosztowała?", pyta referentka mająca na uwadze samochód. „Po remoncie kupiłem, a kosztowała sporo. Teraz wziąłbym za nią i 150 tysięcy".

Imponująca owczarnia, duża chlewnia, a obok wielka stodoła długości mniej więcej 46 metrów i bezpośrednio połączona ze schroniskiem dla owiec. No i nysa, traktor, a poza tym kombajn. „Sprowadziłem go aż z Piaseczna spod Warszawy: nocą, o dwudziestej czwartej doturlałem się do domu. W rolnictwie niewiele się zrobi bez odwagi i pomysłowości. Teraz kupiłem płatki pszenne dla kur, bo tańsze od samej pszenicy, choć to dziwne ustawienie cen. Zresztą podobnych spraw więcej się znajdzie w gospodarce rolnej. Niech pan powie, jak to jest: aby uzyskać tytuł i przywileje gospodarstwa specjalistycznego, wystarczyłoby mi zakontraktować 3 ha warzyw, czyli 30 proc areału".

Wchodzimy do domu. „Rąk pan nie umyje pod kranem w kuchni, bo pompa wysiadła w studni. Ale proszę siadać pod „Berylem", to miejsce dla najlepszych gości". Trochę mnie Józef Smolarz dezorientuje. Jedno nie ulega wątpliwości: z dziennikarzami jest obyty, a może uważa ich za naiwnych.

„A to jest moja połówka", przedstawia żonę. „A może nawet trzy czwarte". Małżeństwem są od lat dziewięciu, mają syna, który chodzi do szkoły podstawowej odległej o 3—4 kilometry. W innej części domu mieszkają rodzice Smolarza, który urodził się w Dysie w 1938 roku. „I nigdy stąd nie wyjadę. Mam 10,30 ha ziemi, sprzęt, zabudowania, a przede wszystkim czuję się rolnikiem, nie tak, jak ci przypadkowi z miasta, co to od pewnego czasu poczuli nagle miłość do ziemi i lokują się na niej, byle tylko najbliżej Lublina. Gdyby były jakieś poważniejsze trudności w rolnictwie, oni pierwsi uciekną ze wsi".

Smolarz był: delegatem na VI Zjazd PZPR, członkiem Egzekutywy lubelskiego KP PZPR, przewodniczącym Powiatowej Rady Kółek Rolniczych. Otrzymał medal 30-lecia PRL i Srebrny Krzyż Zasługi.

„Mnie się powodzi nieźle, choć wie pan, szczęście to względna rzecz. Denerwuje mnie sporo różnych nonsensów, które dotąd u nas istnieją, denerwuje mnie cwaniactwo i fakt, że bez znajomości czasem trudno coś dzisiaj załatwić. A łapówki? Ja nie daję, zresztą nikt nie ośmieli się wziąć ode mnie, ale spójrz pan, czy tak wszyscy postępują?

Gospodarz pyta, czy napijemy się kawy. „Będzie inka, ale pan i tak napisze, że otrzymał prawdziwą, dobrze mówię?!" Żona Smolarza prosi o chwilę cierpliwości, bo jako że gazu z butli jeszcze nie mają, wodę grzać musi na kuchni węglowej. „Ja ci dam gaz!", strofuje ją mąż. „Nie lubię tego zapachu", wyjaśnia. A kiedy informuję, że sam kiedyś w Lublinie korzystałem z butli gazowej, Smolarz ripostuje: „A bo u was nie wiadomo, co pachnie, a co śmierdzi!"

Pytam Smolarza o gospodarkę. Referentka chce mi pomóc: „Ma pan 500 owiec..." Pana Józefa aż poderwało z fotela: „Co też pani mówi!? Pani!? Ze służby rolnej!? Mam 70 sztuk dojrzałych i 27 jagniąt, bo dopiero od kilku miesięcy zająłem się owcami".

Smolarz hoduje owce i narzeka na brak aktualnej literatury fachowej; korzysta z jakiegoś przedwojennego podręcznika, pocieszając się zapowiedzią o mającym ukazywać się wkrótce miesięczniku „Owczarstwo". Jak sprzeda jagnięta, uzyska to, co włożył w kupno rasowych matek. Jedna owca kosztuje 4,5 tys. i daje 6 kg wełny. Za 1 kg dobrego surowca można otrzymać i 320 zł. Pierwsze pieniądze Smolarza z hodowli to 60 tysięcy, które zainkasował właśnie za wełnę. Zamierza powiększyć stado do 300 sztuk. „60 tysięcy... No dobrze, ale hektar pietruszki daje do 120 tysięcy."

Smolarz interesuje się wszystkim, co z rolnictwem związane. Posiada wyrobioną opinię na każdy niemal temat. Zgadza się, że dzisiejszy rolnik powinien posiadać odpowiednią wiedzę i duże doświadczenie, ale wyśmiewa pogoń za dyplomami i tytułami oraz programy kształcenia na poziomie średnim, choćby realizowane w telewizji. „Po co rolnikowi cosinusy?!" Ukończył szkołę podstawową, posiada „dyplom mistrza w zawodzie rolnika" (1973) oraz „świadectwo wykwalifikowanego ogrodnika warzyw". Uważa, że sukces ekonomiczny w rolnictwie wymaga ciężkiej i długiej roboty. „Aby 30 krów wprowadzić pod kontrolę, co równa się uznaniu wysokiej ich jakości, trzeba co najmniej pięciu lat pracy. A tymczasem reklamuje się 18-letnich pępków, dzieciuchów, którzy rzekomo doszli do takich wyników. Prawda zaś jest taka, że to tato się otyrał, a synek miód próbuje zbierać!"

Pytam na koniec Józefa Smolarza, czego najbardziej potrzebuje nasze rolnictwo. „Stabilizacji i szacunku dla ciężkiej pracy chłopa", odpowiada.

A potem wyciąga fiata 125p ciągnikiem, jako że wóz z FSO zarył w błocie niemal razem z podwoziem.

„Wie pan, my się dzisiaj jak z jajkiem obchodzimy w urzędach gminnych z rolnikami. Pomijając inne i ważne względy: proszę zwrócić uwagę na fakt, że wynajęcie robotnika do pracy w gospodarstwie kosztuje obecnie 250—300 złotych dziennie. Ludzie na wsi cenią się i szanują. Ten robotnik poza wspomnianą d n i ó w k ą wymaga jeszcze od najemcy uprzejmości i czapkowania".

Kamena str. 7

Co młody aktor wiedzieć powinien...

Mirosław Derecki

WŚRÓD aktorów panuje przekonanie, że o północy, kiedy w teatrze zgasną wszystkie światła i mrok spowije pustą widownię, kurtyna jeszcze raz idzie w górę, a na scenę wkraczają zmarli aktorzy, aby raz jeszcze zagrać swoje najlepsze role. Można ich usłyszeć, ale... pod warunkiem, że jest się całkowicie zadowolonym ze swoich artystycznych dokonań i ze stosunków panujących w teatrze. Pewnie dlatego tak niewielu może z ręką na sercu przysiąc, że dane im było sprawdzić słowa legendy...

Jeden z ostatnich przedwojennych dyrektorów lubelskiego teatru, Józef Grodnicki, przeżył coś, dzięki czemu wydawać się mogło, iż jest on jednym z nielicznych wybranych... Pewnej nocy dyrektora, mieszkającego na najwyższym piętrze budynku teatralnego, tam gdzie dzisiaj mieszczą się pracownie krawieckie, obudziły dziwne jęki i stukania dochodzące ze sceny. Kiedy zaintrygowany zbiegł na dół, ujrzał w wątłym świetle awaryjnych lamp toczącą się po scenie trumnę. Po chwili odskoczyło wieko i z wnętrza zaczęła się dźwigać jakaś ciemna postać. Efekt był tym silniejszy, że Grodnicki znajdował się jeszcze pod wrażeniem granego tutaj ostatniego wieczoru „Fausta". Na szczęście nie padł od razu „apopleksją tknięty", a po chwili sytuacja się wyjaśniła: mniemany nieboszczyk był pijanym maszynistą scenicznym, którego koledzy, aby im nie przeszkadzał w pracy podczas przedstawienia, włożyli do trumny gdzie spokojnie zasnął na długie godziny. Później usiłował za wszelką cenę wydostać się z ciasnej pułapki...

A jednak Grodnickiemu wcale nie było do śmiechu. Wręcz przeciwnie. Uznał to wydarzenie za zły omen i od tej pory żył w ciągłym przekonaniu, że coś niedobrego spotka go w teatrze. Jakoż wkrótce popadł w długi, zaczęli ścigać go wierzyciele, w teatrze w każdej chwili mogło dojść do buntu zespołu, któremu nie wypłacono gaży. Doszło do tego, że Grodnicki musiał wynieść się z Lublina, wlokąc jeszcze za sobą ogon wytoczonych mu spraw sądowych. I chociaż przyczyną krachu była zła gospodarka finansami, Grodnicki do końca życia powoływał się na wypadek z trumną jako przyczynę nieszczęść.

Aktorzy są przesądni. Czyż trzeba im się dziwić? Od ponad dwóch tysięcy lat obcują na co dzień z bogami, z dobrymi i złymi duchami, są na scenie czarnoksiężnikami lub czarownicami, odmierzają dobro i zło. Tajemniczość, z którą się spotykają na każdym kroku, choćby to była tylko tajemniczość samego budynku teatralnego, pełnego schodów, przejść tajemnych, niebezpiecznych kładek przerzuconych nad czeluściami sceny, otwierających się pod stopami zapadni, prowadzących do nikąd korytarzyków i mrocznych pomieszczeń wypełnionych starymi dekoracjami i rekwizytami, oraz związana przez całe wieki z zawodem aktora niepewność losu życiowego sprawiają, że więcej niż inni ludzie przywiązują wagi do wydarzeń drobnych, pozornie niewiele znaczących, i wyolbrzymiają je do nadnaturalnych rozmiarów...

Niech no tylko pojawi się kot w teatrze — zaraz tragedia! Kot może wypłoszyć publiczność i fakt, że do lubelskiego teatru ciągle przedostają się koty z pobliskiego domu towarowego, stwarza wśród pracowników atmosferę napięcia.

Szacunek dla sztuki i dla teatru jako dziedzictwa Melpomeny sprawia, że od wielu pokoleń nikt z aktorów nie śmie wejść na scenę w cywilnym nakryciu głowy, chyba że wymaga tego grana akurat sztuka. Podobnie jak na morzu, nie wolno w teatrze pod żadnym pozorem gwizdać, i nieraz dochodzi do piekielnych awantur między zespołem aktorskim a pogwizdującymi przy ustawianiu dekoracji, świeżo przyjętymi do pracy maszynistami. Jeden ze starych aktorów tłumaczył mi kiedyś, że poza szeregiem innych względów, niepoślednią rolę gra tutaj fakt ciągłej obawy aktorów przed wygwizdaniem. *Chociaż* — dodał po chwili ze smutkiem — *kto, proszę pana, w dzisiejszych czasach dba w teatrze o publiczność? Od czasu upaństwowienia teatrów aktor coraz mniej myśli o publiczności, bo pieniądze na życie dostaje z kasy państwowej a nie teatralnej. Kiedyś, jak nie przyszła publiczność i nie kupiła biletów, to nie było pieniędzy.*

Wśród wielu ludzi panuje przekonanie, że pawie pióra przynoszą nieszczęście. Ale w teatrze — pawie pióra to k ł o p o t y. Dlatego aktorzy i dyrektorzy teatralni niechętnie patrzą na scenografów, którzy wprowadzają ten element plastyczny do swoich realizacji. Przesąd wywodzi się jeszcze z okresu zaborów, kiedy polskość manifestowano na scenie m. in przez eksponowanie krakowskich strojów, „kościuszkowskich" sukman oraz rogatywek bogato przybranych w pęki pawich piór. Wtedy nierzadko do teatru wkraczała cenzura.

Nie wolno też pod żadnym pozorem dopuścić do r o z s y p a n i a p u d r u w garderobie, bo to oznacza szybką z m i a n ę t e a t r u. A jeżeli na ziemię upadnie egzemplarz sztuki, trzeba go natychmiast p r z y d e p t a ć przed podniesieniem, bo inaczej aktorowi grozi z a w a l e n i e roli. Opowiadał mi były wieloletni dyrektor lubelskiej operetki, Antoni Niemczynowski, że w czasach kiedy w scenografii stosowano pełny realizm, w teatrach prowincjonalnych wykształcił się przesąd, że pod żadnym pozorem nie wolno recytować poezji Jana Kochanowskiego p o d l i p ą. Mogły radować oko widza pięknie wymalowane na płótnie dęby, świerki czy brzozy, ale lipa miała wstęp do teatru wzbroniony...

Cygańskie czasy zapaleńców sceny — stwierdził kiedyś z żalem Janusz Warnecki — *nieprzytomnych służek Melpomeny przeminęły i nie wrócą. Dziś teatr stał się instytucją użyteczności publicznej* (...) *Stworzono gruntowe podstawy materialne, przewidziano wszystko z wyjątkiem atmosfery. Bo atmosfera w teatrze to sprawa diablo nieuchwytna, zaplanować się nie da.* Ale przecież zostało coś z tej atmosfery, i słowa Warneckiego nie brzmią dzisiaj już tak złowieszczo jak przed laty. A może po prostu teatr okazał się z czasem silniejszy od biurokracji i stale wyłamuje się ze swego zinstytucjonalizowania? Może po prostu wykształca się inny typ atmosfery teatralnej, takiej na miarę naszej epoki?

Minęły czasy Leszczyńskich, Rapackich i Trapszów, ale współczesny teatr nadal pozostaje pod ich wrażeniem, a figle czy zdarzenia na scenie, których nie zauważa widownia, wcale nie odbiegają klimatem od tych, jakie działy się pięćdziesiąt czy sto lat temu. Może bardziej niż w Warszawie czy Krakowie, daje się to odczuć w teatrach „prowincjonalnych", które kontynuując starą aktorską tradycję krążą po odległych miasteczkach i osadach. Chociaż dzisiejsi aktorowie nie sypiają już na wiązce słomy, przykryci wymalowanym na płótnie fragmentem „pałacowej" dekoracji, tylko w dość porządnych prowincjonalnych hotelikach.

Aktorzy lubią sobie płatać na scenie figle. Wynika to nie tylko z ich wybujałej osobowości, ale także z pracy wykonywanej w ciągłym napięciu, nerwowej, w atmosferze, gdzie bez przerwy czyhają na nich nieprzewidziane sytuacje, a także... z pracy na swój sposób monotonnej. Sto razy opłakiwać na scenie śmierć kochanka! Sto razy w identyczny sposób toczyć spór ze scenicznym przeciwnikiem! Sto razy tak samo śmiać się i szlochać, grzmieć donośnie na wrogów i tarzać się we własnej, „duchowej niemocy"... Kto to wytrzyma?! Musi być jakaś klapa bezpieczeństwa, jakiś wentyl, który przynajmniej częściowo rozładuje nagromadzony ładunek emocji...

„Wierna rzeka" wg Stefana Żeromskiego, wystawiona przez Teatr im. Osterwy w Lublinie w 1967 r., w reżyserii Zofii Modrzewskiej, cieszyła się ogromnym powodzeniem. Szła kompletami w Lublinie i w terenie prawie 150 razy. Aktorzy już myśleli i mówili w rozmowach prywatnych fragmentami tekstu. Ostatnie przedstawienia zaczynały zamieniać się w katorgę. Nic dziwnego, że właśnie w tej sztuce narodziło się najwięcej zabawnych, przewidzianych i nie przewidzianych dowcipów i sytuacji.

Jest tam na przykład scena, w której ranny Powstaniec (grał go Zbigniew Sztejman), pielęgnująca go Salomea (Danuta Rastawicka) oraz stary sługa Szczepan Podkurek (Ludwik Paczyński) jedzą z jednej miski kaszę, przyniesioną przez Podkurka. Paczyński dosypał za kulisami do kaszy potężną ilość pieprzu, ciesząc się na zapas z wrażenia, jakie nieprzewidziana potrawa wywrze na kolegach. Aliści Rastawicka błyskawicznie zorientowała się co jest „grane" i bez zmrużenia oka „zahaftowała" (to znaczy w slangu teatralnym — powiedziała wymyślonym na poczekaniu tekstem) do dowcipnego partnera: *Zjedz sam, Szczepanie, my nie jesteśmy głodni.* Rad nie rad musiał Paczyński wziąć się do jedzenia. W ustach i żołądku miał piekło. Od ostatecznej klęski uratowała go zapadająca kurtyna. Na następnym przedstawieniu wziął na kolegach odwet, wyjmując nagle spod kożucha półtorametrowej długości drewnianą chochlę. Sztejman nie wytrzymał nerwowo i dusząc się ze śmiechu schował głowę pod poduszkę, usiłując udać przed publicznością, że Powstaniec dostał z bólu drgawek. Gorzej było z Salomeą, która nie panując nad sobą zupełnie, padła w jeszcze większych drgawkach na łóżko Powstańca...

W tej samej „Wiernej rzece", w scenie wejścia do dworu Kozaków, jeden z aktorów postanowił zrobić kawał (zmarłemu niedawno) Witoldowi Lisowskiemu, grającemu wówczas rosyjskiego pułkownika. Na wszystkie pytania stawiane przez pułkownika indagowany „chłop" odpowiadał po... rosyjsku. A były to nieraz dość długie i skomplikowane kwestie, wymagające natychmiastowej repliki ze strony partnera. Publiczność oczywiście zupełnie nie orientowała się, że na scenie dzieje się coś niezwykłego, a tymczasem biedny „Dzidzia" (tak Lisowskiego nazywano w teatrze), zaskoczony zupełnie, a w dodatku nie znający rosyjskiego, wpadał w coraz większą panikę. Za kulisami zespół tarzał się z uciechy. Aż wreszcie „Dzidzia" znalazł genialne wyjście z sytuacji. Gdzieś, z głębi pamięci wyłuskał jedno, jedyne słowo rosyjskie... Potoczywszy groźnym spojrzeniem po scenie machnął ręką, ryknął *Naplewat'*, a następnie zrobił przepisowy w tył zwrot i... wymaszerował za kulisy. Był bohaterem wieczoru.

Bywają jednak w czasie przedstawienia sytuacje niezamierzone, które dzięki swemu komizmowi rujnują całkowicie przebiegający na scenie tok wypadków. Tak było na przykład w 1962 r., kiedy w Lublinie szedł „Król i aktor" Brandstettera. Podczas prób, grający księcia Józefa Poniatowskiego Ludwik Paczyński nie mógł się jakoś „odnaleźć". W końcu doszedł do wniosku, że źle się w roli czuje, bo została ona niewłaściwie „ustawiona" przez reżyserkę, Zofię Modrzewską. Postanowił więc, że po premierze, kiedy „pani Zosia" zajmie się przygotowaniem innej sztuki, zagra księcia po swojemu. Trzeba tutaj dodać, że Zofia Modrzewska miała dość swoiste poglądy na rolę aktora w przedstawieniu: po prostu musiał grać identycznie w ten sposób, jak to przedtem ustaliła, a nierzadko, sama przed nim, w czasie próby — „odegrała".

Nie wiedział tylko młody aktor, że Modrzewska miała zwyczaj oglądać w s z y s t k i e swoje przedstawienia, siedząc, niczym na Parnasie, na zawieszonym prawie pod samym sufitem „paradyzie" czyli na teatralnej galerii. Zagrał więc na drugim po premierze przedstawieniu tak, jak to sobie wymarzył i czuł z zadowoleniem, że „siedzi w roli". I oto nagle z góry, z ciemnej czeluści widowni, ku przerażeniu widzów i aktorów, dobiega straszny krzyk: *Ja go zabijęę!!!* A po chwili, w zamarłym w ciszy teatrze, słychać narastający hurkot: to „pani Zosia" pędzi ogarnięta szałem po schodach wiodących na kolejne balkony...

Na szczęście zjechała kurtyna kończąc odsłonę. Modrzewska wpadła jak lwica za kulisy. Mimo najusilniejszych starań nie schwytała jednak tego wieczoru Paczyńskiego. Nie przyszło jej bowiem na myśl, że zrejterował do damskiej toalety, gdzie przesiedział do końca przedstawienia. Następnego dnia przyszedł do reżyserki z bukietem róż i przeprosinami, ale od tego czasu grał już jednak po swojemu, a Zofia Modrzewska przymknęła na to oczy.

„Wesołe kumoszki z Windsoru" — Wł. Wiszniewski, Zb. Sztejman

Fot. Zbigniew Zugaj

Nieszczęście, jeżeli w zespole znajdzie się zbyt wielu „g o t o w a c z y", to znaczy aktorów, którzy mają zbyt wielką predylekcję do „gotowania się" na scenie — nie potrafiących opanować się i „utrzymać twarzy" w czasie jakichś nieprzewidzianych, wzbudzających śmiech sytuacji. Do największych „gotowaczy" należą w lubelskim teatrze Włodzimierz Wiszniewski, Andrzej Rzechowski, Elżbieta Święcicka, a przede wszystkim Karol Siedlecki. Często przez „gotowaczy" kładzie się przedstawienie, bo potrafią oni swoim spontanicznym, niepohamowanym śmiechem zarazić cały zespół.

W „Królu i aktorze" sztukę otwiera scena, w której, w lubelskiej realizacji, występowali Włodzimierz Wiszniewski i Andrzej Chmielarczyk. Podczas „plenerowego" przedstawienia w Biłgoraju, tuż po odsłonięciu kurtyny, zanim jeszcze aktorzy zdołali cokolwiek powiedzieć, na scenę wkroczył... miejscowy palacz i ukłoniwszy się grzecznie obu aktorom, przemaszerował za kulisy, gdzie znajdowało się wejście do kotłowni. Przedstawienie zaczęło się więc oryginalnie i wesoło, a biorąc pod uwagę skłonność Wiszniewskiego do śmiechu, toczyło się już w narastającej coraz bardziej atmosferze wesołości do końca, ku zupełnemu zdezorientowaniu publiczności.

Podczas jednego z przedstawień granej obecnie „Wojny i pokoju" został nagle „ugotowany" cały zespół. Ci, którzy oglądali to przedstawienie, przypominają sobie scenę, kiedy przed bitwą pod Borodino na skraj pola walki wkracza lekarz. Gra go ulubieniec kobiet, ale zarazem znany z przejęzyczeń i roztargnienia Witold Zarychta. Otóż, zamiast w zgiełku i zamieszaniu przedbitewnym, powiedzieć do swoich „podwładnych" *Urządzimy tu lazaret polowy*, Zarychta oświadczył: *Urządzimy tu... kabaret polowy!* Ten sam Zarychta, grając kiedyś w „Robin Hoodzie", zamiast zawołać do towarzyszy walki: *Idziemy i uwolnimy Mariannę!* wrzasnął nagle: *Hurraa!!!* Po czym natychmiast wszyscy „wojownicy" wypadli pędem za kulisy... żeby tam wyśmiać się do woli.

Śmiech w teatrze bywa często wynikiem tremy, a bez tremy nie ma przecież podobno dobrego aktora. Ale w lubelskim teatrze nie używa się słowa „trema". To słowo mogłoby sprowadzić na aktora... zbyt wielką tremę! Mówi się więc bardziej oględnie, że ktoś „ma pietra". U każdego stan ów objawia się w inny sposób i w różny sposób aktorzy starają się mu zapobiec: Stanisław Olejarnik przed premierą pije szklankami wodę, Krystyn Wójcik do momentu podniesienia kurtyny czyta książkę, Zbigniew Sztejman robi przysiady, Włodzimierz Wiszniewski bez przerwy coś je, Ludwik Paczyński idzie na spacer na Stare Miasto, a Waldemar Tarczyński czyści swoją bogatą kolekcję zegarów. Natomiast Lidia Szczechówna w dniu premiery zabiera się od samego rana do gruntownego sprzątania...

I wreszcie premiera: tego dnia wszyscy w teatrze interesują się „co powie lina". Tak, lina od kurtyny, którą od lat zawiaduje „mistrz" Stanisław Kuna, i który po jej naprężeniu, na podstawie tego swoistego, teatralnego „barometru" orientuje się, czy będzie pogoda czy deszcz, bo to także na swój wpływ na premierową publiczność i na jej reakcję na przedstawienie.

Natomiast artystycznym „barometrem" jest w przekonaniu tutejszych aktorów pani Czesława Szymańska, od ponad czterdziestu lat pracująca w lubelskim teatrze jako portierka. W jakiś niezbadany sposób, jakimś ósmym zmysłem, potrafi ona wyczuć, czy sztuka będzie miała powodzenie czy też padnie. Utarło się również od lat, że pani Szymańska po każdej premierze wysupłuje ze swoich skromnych zarobków pewną sumkę, przyrządza doskonałe smakołyki — rybę w galarecie, bigos, i ugaszcza nimi tych aktorów, którzy jej zdaniem zasłużyli na najwyższą pochwałę.

Przeto również i autor niniejszej publikacji — który lat temu... przemykał pod jej okiem przez portiernię ku scenie jako skromny statysta teatralny — pozwala sobie tradycyjnie złożyć do oceny pani Czesi Szymańskiej — tę garść impresji i wspomnień, które go naszły przed zbliżającym się Dniem Teatru...

Pierwsza młodość podkasanej muzy

Andrzej Koperwas

TRZYDZIEŚCI lat pracy teatru to dużo. Nie będę pisał całej kroniki, zrobią to inni, może lepiej ode mnie. Ja przypomnę tylko to, co było najciekawsze, i ludzi, którzy przewinęli się przez muzyczną scenę Lublina.

Jak każda placówka artystyczna, tak i ta przeżywała wzloty i upadki. „To naturalne jak przypływ i odpływ, jak zachód i wschód słońca..." (Jerzy Szaniawski — „Dwa teatry"). Dla ścisłości należy chyba przypomnieć, że dwukrotnie na skutek różnych przyczyn lubelska scena przestawała istnieć, ale niczym Feniks z popiołów odradzała się na nowo. Inspiratorem był niespożyty Antoni Niemczynowski, „dobry duch" Operetki lubelskiej przez długie lata.

Swój najświetniejszy okres scena muzyczna ma już chyba za sobą. A był to okres trudny, teatr egzystował jako tzw. „działówka". Oponenci podniosą głosy, że preferowano wówczas samą klasykę. Nie tylko, ale jeśli nawet, to jak to było zrobione i kto grał! Aż łza się w oku kręci.

Przez lubelską scenę przewinęła się cała plejada znakomitych wykonawców. I tak jedną z primadonn wielkiego formatu była Wanda Pawlikowska. Prawdę mówiąc, nikt już później nie umiał nosić toalet na scenie tak jak ona. Głos co prawda nieduży, ale o miłym brzmieniu, jaka klasa aktorska, co za temperament! To była „Wdówka", „Marica", Eurydyka, Wiktoria, Wally, „Jadzia wdowa"... Tak finezyjną grę, jaką demonstrowała w I i II finale „Hrabiny Maricy", rzadko można spotkać na scenie operetkowej.

Inny genre reprezentowała druga ulubienica publiczności, Elżbieta Zakrzewska. Była to primadonna liryczna. Ileż uroku, ciepła, kobiecości! Kiedyś w kuluarach usłyszałem taką rozmowę: „Byłam 15 razy na „Ptaszniku z Tyrolu", kiedy grała Zakrzewska, ona jest taką uroczą Księżną". A jej Saffi, leharowska Liza z „Krainy uśmiechu", czy ostatnia lubelska rola — Rozalinda w „Zemście nietoperza"? Piękny liryczny sopran, szlachetny w barwie, wyrównana emisja, doskonała aparycja i subtelne aktorstwo, wszystko to zjednywało jej wielbicieli.

Na lubelskiej scenie gościła także Beata Artemska. Jako aktorka niemałą klasę zademonstrowała w offenbachowskiej „Pięknej Helenie", czy jako Natasza w „Niespokojnym szczęściu". Tu uwodziła nie tylko Jowisza, Plutona jako Eurydyka, a potem cały „dwór Sułtana Sulejmana" — iście wiedeńskim temperamentem Xenia Grey, ostatnia już przedstawicielka „polskiej szkoły operetkowej". W Lublinie debiutowały i rozwijały swoje talenty takie diwy jak: Janina Guttnerówna i Felicja Jagodzińska (niezapomniana „Krysia Leśniczanka"), obecnie filary operetek poznańskiej i wrocławskiej.

Xenia Grey — Eurydyka w „Orfeuszu w piekle". 1952 r.

Fot. Cyprian

A Janina Łaszczyk? Jej postać zrosła się z pejzażem Lublina tamtych lat. Kiedy zjawiła się na scenie w najdrobniejszym choćby epizodzie, przedstawienie nabierało innego wymiaru. Wśród tylu znakomitych postaci, jakie stworzyła, najtrwalej wpisała się w pamięci jako „Fifi od wielkiego Bębna" z „Czaru walca", Zorajda z „1001 nocy", Balbina Kłaczkowa z „Romansu z wodewilu" — roli, w której obchodziła 35-lecie swojej pracy artystycznej.

Z lubelską sceną związała się na kilka lat, jako dyrektor, reżyser, a przede wszystkim primadonna, wielka gwiazda opery i operetki polskiej — Barbara Kostrzewska, której zawdzięczamy piękny okres w rozwoju lubelskiej sceny operetkowej. Tu kończyły swoją wielką karierę artystyczną ulubienica poznańskiej publiczności w okresie międzywojennym Jadwiga Fontanówna (wnuczka przyjaciela Chopina) i Olga Orleńska — pierwsza polska „Księżniczka Czardasza" i ponoć jak dotąd najlepsza. Pierwsza z nich upamiętniła się rolą Oresta w „Pięknej Helenie", a zwłaszcza kapitalnym kupletem ze śmiechem, druga wzruszająco zagraną rolą Klementyny ze „Swobodnego wiatru". Gościnnie występowały Jadwiga Kenda, doskonała jako Saffi i Agnieszka Kossakowska, niezapomniana „Rose Marie". Doskonałą wodewilistką była Lucyna Drzewiecka, która podbiła publiczność brawurowo zagraną rolą Krysi Listonoszki w zellerowskim „Ptaszniku z Tyrolu".

Piękniejszą połowę widowni przez długi okres czarował swym głosem, urodą i wdziękiem amant Jerzy Golfert, pamiętny zwłaszcza jako: Tassillo, Parys, „Baron cygański", czy „Ptasznik z Tyrolu". W maju 1950 r. wystąpił gościnnie niebieskooki blondyn — młodziutki Jerzy Molenda, by później przez długi okres być pierwszym tenorem lubelskiej sceny. A Czesław Pregowski, uroczy wodewilista? Dziś już takie emploi w Lublinie nie istnieje. Przez pewien okres zasilał swym talentem lubelską scenę muzyczną doskonały śpiewak Michał Lasowy.

Osobny rozdział to Romuald Gierasieński. Jego niepowtarzalne kreacje Menelaja i kapitalne „liczenie nóżek", Gzymsika w „Romansie z wodewilu", Frosza, Kornieja w „Niespokojnym szczęściu", lub Kalmana Żupana w „Baronie cygańskim", to złote karty Operetki Lubelskiej. Drugim ulubieńcem był Marian Kondracki, prawie każde jego wejście na scenę publiczność witała oklaskami. A co to był za koncert gry, gdy na scenie spotkali się Gierasieński — Menelai i Kondracki — Kalchas! Nic dziwnego, że lubelska publiczność szturmowała do kasy, nie werbowana przez „Biuro Organizacji Widowni" — bo takie wówczas w ogóle nie istniało.

Teatr grał tylko w bazie, a sztuki osiągały do 100 przedstawień.

Długoletnim kierownikiem artystycznym, reżyserem, a także aktorem był Kazimierz Dembowski — gwiazdor słynnych warszawskich „Nowości" i wileńskiej „Lutni". To była klasa. Dziś już takiej elegancji (jak on umiał nosić frak) i szyku nie spotyka się na scenach operetkowych.

W Lublinie stawiali pierwsze kroki: Krzysztof Chamiec, Mieczysław Czechowicz, Wiesław Michnikowski. Tu także debiutowali Henryk Rucki i Ryszard Wojtkowski. Ze sceną lubelską byli związani, dłużej lub krócej: Maria Gorczyńska, Izabella Ferency, Jolanta Skubniewska, Witold Kałuski, Sławomir Litwiński, Jerzy Michotek, Jan Rowiński, Michał Śląski, Władysław Surzyński i Mieczysław Voit.

Osobny rozdział to małżeństwo Ewa i Jan Fabianowie. Z chwilą odejścia p. Ewy Lublin już nie oglądał tak wytwornych kostiumów, prawdziwych kreacji, zawsze pięknie dostosowanych do stylu epoki. Jan Fabian przez długi czas prowadził balet sam tańcząc. Pamiętamy jego układy do „Czaru walca", „Barona cygańskiego", „Krainy uśmiechu", a zwłaszcza znakomitą „Suitę Orientalną" w „1001 nocy". Z czasem przerzucił się na aktorstwo i reżyserię, stwarzając znakomite kreacje jako Jowisz, Mazurkiewicz czy Miechodmuch.

A kierownicy muzyczni, dyrygenci, postacie tak ważne w tego typu placówce? Adam Cichoń, Adam Lenczowski, Olgierd Straszyński, po nich Wacław Geiger, Władysław Kabalewski, Walerian Pawłowski, Józef Talarczyk doskonale znali i czuli ten gatunek muzyki. Reżyserzy: Paweł Bem, twórca szczytowego osiągnięcia w ciągu 30-lecia, pamiętnej pierwszej wersji „1001 nocy" Johana Straussa, „Rose Marie" i tylu, tylu innych, Witold Zdzitowiecki, Tadeusz Wołowski.

Scenografowie: Józef Galewski, Edward Grajewski, Teodor Gałysz, Jerzy Torończyk.

Można by długo snuć wspomnienia o czasach świetności, gdy lubliniacy chodzili po kilka, a nawet kilkanaście razy na jedną operetkę. I nie zdarzało się, by poszczególne numery wokalno-muzyczne pozostawały bez braw, nie mówiąc już o bisach. Ewenementem swego rodzaju było bisowanie prawie na każdym spektaklu chóralnego entrez cyganów w I akcie arcy-operetty Johana Straussa „Baron cygański".

O niektórych problemach współczesnej Operetki Lubelskiej, czy — jak kto woli — Teatru Muzycznego, pisaliśmy w 3 n-rze „Kameny" z br. (Red.)

Kamena str. 9

DŁUŻNICY DO RAPORTU!

Jerzy Dostatni

Muzeum Mazurskie w Olsztynie wypożycza niżej wymienione przedmioty (...) W/w eksponaty wypożycza się do czasu uruchomienia ekspozycji wnętrza pałacowego w Kozłówce. Termin zwrotu uzależniony jest od terminu zakończenia robót elektrycznych w pałacu (przypuszczalnie pocz. 1972 r.). O dokładnym terminie zwrotu CSM uprzedzi przynajmniej miesiąc wcześniej.

OTO stwierdzenia, zawarte w protokóle nr 1/70 z 28 września 1970 r., podpisanym i opatrzonym pieczęcią Muzeum Mazurskiego przez jej upoważnionego pracownika mgr. Jacka Wziątka. Owe eksponaty to 15 sztuk mebli tzw. gdańskich.

Okazuje się jednak, że droga od podpisania zobowiązania o zwrocie do rzeczywistego zwrotu nie jest wcale ani prosta, ani krótka. Na wystosowane jeszcze w ub. roku pismo z Kozłówki muzeum w Olsztynie w ogóle nie odpowiedziało, co w stosunkach prywatnych uważa się co najmniej za niegrzeczność. Wystąpiło natomiast, pisemnie i poprzez różne osoby, do Ministerstwa Kultury i Sztuki, broniąc swojego stanu posiadania. Po dalszych ponagleniach przysłało ostatnio trzy krzesła, które akurat są najmniej potrzebne.

Dla odmiany Dom Architekta w Kazimierzu Dolnym, chociaż zapewne bez entuzjazmu, zwrócił jednak wszystkie meble, ale zachował jeszcze jeden obraz, który zdobi klatkę schodową. Muzeum w Łańcucie uczyniło jeszcze więcej. W latach pięćdziesiątych decyzją MKiS, któremu bezpośrednio podlegała ówczesna Centralna Składnica Muzealna w Kozłówce, otrzymało na własność różne meble i porcelanę. Obecnie na wieść, że Kozłówka przekształciła się w muzeum wnętrzarstwa, część tych przedmiotów zwróciło.

Akcję rewindykacyjną dawnych zbiorów prowadzi uparcie, nawet z widocznymi zdolnościami detektywistycznymi, nowy dyrektor muzeum w Kozłówce, mgr Irena Paszyn. Ma dużo pasji i można przypuszczać, że jeżeli nie wszystko, to prawie wszystko odnajdzie i sprowadzi na miejsce.

A sprawy są często zagmatwane, decyzje zaś niełatwe do podjęcia. Kozłówka była pierwszym muzeum, otwartym w PRL. Potem muzeum zamieniono na ową Centralną Składnicę Muzealną. Miało to podwójny skutek. Przywożono tu raczej różne rupiecie, natomiast szereg cennych eksponatów postanowieniem MKiS, bądź bez tego postanowienia, wypożyczono różnym instytucjom, a także muzeom. Nieraz sprawę załatwiało się telefonicznie, na gębę, po znajomości, bywało, że jakiś ówczesny prominent zabierał coś do swego biura bez jakiegokolwiek pokwitowania.

Pałac w Kozłówce został wybudowany około roku 1740 przez słynnego wówczas architekta, Józefa Fontanę. Na przełomie XIX i XX w. Konstanty Zamoyski pałac przebudował, coś dobudował, a przede wszystkim urządził wnętrza. Skupował więc lub polecał robić meble, niemal po całej Europie zamawiał kopie słynnych obrazów. Powstały w ten sposób unikalne w Polsce wnętrza pałacowe, bo chociaż gromadziły — jak sam pałac — różne style, to w sumie tworzyły jednolity styl tego, czym meblowano i upiększano wówczas wnętrza domów ludzi bogatych. Eksponaty, pojedynczo biorąc, na ogół nie przedstawiają specjalnej wartości zabytkowej, ale stają się nią jako komplet i w pełni odpowiadają właśnie, a raczej tylko, wnętrzom w Kozłówce.

Stąd cała akcja rewindykacyjna, bo bez niej muzeum w Kozłówce nigdy nie stanie się prawdziwym muzeum. W roku ub. w ciągu 10 sobót i niedziel było tam 6 tys. zwiedzających. Można, oczywiście, powiedzieć, że w Olsztynie czy Łodzi muzea mają znacznie większą frekwencję i że wobec tego eksponaty spełniają tam znaczniejszą rolę w upowszechnianiu sztuki. No, ale jeżeli tak, to zgromadźmy wszystko w Muzeum Narodowym w Warszawie lub na Wawelu...

W Kozłówce przechowuje się protokóły wypożyczenia różnych eksponatów aż 17 instytucjom. Są tam muzea w Krakowie, Warszawie, Puławach, Zamościu, Bytomiu, Białymstoku, Płocku, Łodzi. Ale są także: istniejąca kiedyś Rada Prymasowska Odbudowy Kościołów, Dom Dziecka w Klemensowie czy Biuro Prezydialne Sądu Najwyższego. Razem 101 obrazów i około 50 sztuk mebli, ponadto porcelana i różne drobiazgi.

W tej liczbie mieszczą się również przedmioty, wypożyczone swego czasu placówkom, znajdującym się na terenie dzisiejszego województwa lubelskiego. Największym „dłużnikiem" (licząc ilościowo) jest Muzeum Lubelskie. W cudzysłowie dlatego, że właściwie kiedyś je placówce lubelskiej podarowano. Ale z braku miejsca przedmiotów tych się nie eksponuje, stoją spokojnie w magazynach. Rozpoczęto już pierwsze starania o to, aby Muzeum Lubelskie z kolei podarowało je (z powrotem) muzeum w Kozłówce, ale niedawna śmierć dyrektora przerwała toczące się pozytywnie pertraktacje. Co powie nowy dyrektor?

Kilka obrazów znajduje się w rektoracie UMCS, który wkrótce przenosi się do nowego gmachu przy ul. Nowotki. Można wątpić, czy nadają się one do dekoracji nowoczesnych pomieszczeń, więc...

Co ciekawsze, szereg eksponatów posiada także Ministerstwo Kultury i Sztuki, które wypożyczyło je kiedyś celem wyposażenia niektórych swoich biur. Kilka z nich już wróciło, m. in. piękny zegar. Po ostatniej interwencji u generalnego konserwatora, prof. Bogdana Rymaszewskiego, jest nadzieja, że wrócą i pozostałe.

Pałac w Kozłówce odtwarzany jest według stanu z fotografii, uprzystępnionych w dużej części przez ostatnich właścicieli prywatnych — rodzinę Zamoyskich. Wiadomo więc np., że było tam dużo dywanów i świeczników. Prawie wszystkie zniknęły bez śladu. Muzeum byłoby wdzięczne za jakieś wiadomości na ten temat. Więcej — gotowe jest zakupić takie przedmioty pod warunkiem, że będą pochodziły z końca XIX w. lub początku XX w.

Przedziwna historia, utkana z całkowicie legalnych transakcji i przypadków, dotyczy pewnego zestawu mebli ostatnich właścicieli Kozłówki — Aleksandra i Jadwigi Zamoyskich. W czasie okupacji komplet ten znajdował się w Warszawie na Pradze i przy ul. Foksal, szczęśliwie unikając zniszczenia. Tuż po wojnie Jadwiga Zamoyska przekazała go w depozyt ambasadzie angielskiej, która wówczas dopiero się meblowała. Przekazanie nastąpiło dzięki ówczesnemu sekretarzowi ambasady, jakoś tam spokrewnionemu z Zamoyskimi. Gdy nieco później Jadwiga Zamoyska wyjechała do Anglii, aby połączyć się z uwolnionym z obozu koncentracyjnego mężem, małżonkowie jako zapłatę za te meble otrzymali bezpłatny bilet do Kanady, gdzie się osiedlili i zmarli.

W roku ubiegłym angielska księżniczka Małgorzata podarowała tenże komplet, stanowiący już własność ambasady, odbudowującemu się Zamkowi Królewskiemu w Warszawie. Bardzo się tam obecnie przydaje, ale można mieć nadzieję, że gdy Zamek — dary przecież napływają nieustannie — się wzbogaci, wspaniałomyślnie przekaże te meble Kozłówce, która obok Łańcuta czy Rogalina ma wszelkie szanse stać się jednym z nielicznych w Polsce muzeów wnętrzarstwa.

Aby jednak tak się stało, konieczne jest także odpowiednie zagospodarowanie samej Kozłówki, do której szosa jest teraz wąska i pełna dziur, a samo dojście do pałacu żadne — bo chodnika nie ma nawet śladu.

Otóż od lat mówi się o urządzeniu przy pobliskich stawach dużego zalewu, wybudowaniu hotelu i campingu. To przecież nie tylko inwestycja dla pobliskiego Lubartowa, lecz dla turystów, których może tu ściągnąć nie tylko dobrze urządzone muzeum, ale i piękne lasy wokół — pod warunkiem, że będzie gdzie się przespać i najeść, a także znaleźć inne przyjemności. Myślę także, iż warto zająć się szybko pełnym zagospodarowaniem parku, który w tej chwili nie stanowi żadnej atrakcji.

OKO-LICE SZTU-KI

Spotykamy się nadal

DWUDZIESTEGO czwartego lutego rozpoczął się drugi etap Lubelskich Spotkań Plastycznych, w którym uczestniczy większość artystów związanych od początku z imprezą oraz grupa osób zaproszonych do działania w obecnym etapie.

W osiedlach Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, gdzie, jak wiadomo, rozwija się całe przedsięwzięcie, zrealizowano dotąd 33 prace. Jaki poziom reprezentowały owe malowidła ścienne, rzeźby, plastycznie ukształtowane prześwity we wstęgach bloków mieszkalnych? Gdyby zapytać o to kolegium rzeczoznawców — badało sprawę 10 grudnia minionego roku — usłyszelibyśmy w odpowiedzi, że 3 należy uznać za wybitne, 16 za dobre, 4 za zadowalające. Warszawsko-lubelskie kolegium zdyskwalifikowało 10 prac, w tym niektóre rzeźby już znacznie wcześniej kwestionowane przez niżej podpisanego. Informuję o tym, ponieważ jest to mój pierwszy, konkretny i wymierny, sukces publicystyczny w ciągu 15 lat zajmowania się krytyką plastyczną w Lublinie. Wśród rozwiązań wybitnych znalazła się koncepcja zespołu w składzie: Jan Berdyszak, Zofia Kopel-Szulc, Henryk Szulc, Andrzej Pol i Jan Ziemski, którą dopiero zaczęto realizować. Kolegium uznało przecież, że integralne potraktowanie przez autorów przestrzeni społeczno-urbanistycznej osiedla im. Sienkiewicza, wykluczające tanie, bibelotowe niejako efekty, obiecuje interesujące rezultaty praktyczne...

Znacznie bardziej zaawansowana jest realizacja projektu zespołu kierowanego przez Andrzeja Grzybowskiego z Katowic. Barwne wstęgi łączące „w wyobraźni" wielkie bloki osiedla im. Krasińskiego, ściany szczytowe niższych budynków pokryte malowidłami oraz prześwity — oto dotychczasowe efekty działalności tego zespołu, którego koncepcję także oceniono bardzo wysoko, zaopatrując ją pochlebnym przymiotnikiem „kompleksowa". Za kilka tygodni, jak się ociepli, Grzybowski z kolegami przystąpią do formowania różnych historii relaksowych, rzeźbiarskich etc.

A tymczasem inżynier Eugeniusz Borys, kierownik działu inwestycji LSM, zauważył podczas dyskusji otwierającej drugi etap Lubelskich Spotkań Plastycznych, że malowidła na osiedlu im. Krasińskiego już za trzy lata (!)trzeba będzie poddać zasadniczej renowacji, albo wykonać na nowo. Rzecz w tym, że do malowania motywów użyto zwyczajnej farby emulsyjnej, która owszem, jest bardzo wytrzymała w M-6, choć i w takim zamkniętym pomieszczeniu brudzi się i łuszczy, ale na pewno nie wytrzymuje próby wiatru, śniegu i wody na elewacjach. Najciekawsze przy tym jest to, że fachowiec wskazał na błąd technologiczny, który już dawno dostrzegli zwyczajni dyletanci. A więc można było go naprawić na samym początku przedsięwzięcia, unikając smutnych powikłań różnej natury.

Do czego zmierzam? Popierałem ideę Lubelskich Spotkań Plastycznych od początku (prawie), tak jak walczyłem z propozycjami o charakterze nonsensownym. Obecnie zajmuję podobne stanowisko — bo innego zająć nie sposób, jako że LSP to impreza rzeczywiście ważna i w sumie wartościowa, choć oczywiście nie pozbawiona braków. Co mogłoby wykluczyć te ostatnie? Dwustronne poczucie odpowiedzialności za sprawę: ze strony plastyków, ze strony organizatorów. Ci ostatni, sądząc po wypowiedzi dyrektora Mieczysława Białasa, przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego LSP, wyciągnęli wnioski z dotychczasowego rozwoju wydarzeń i są przygotowani do sprawnego przeprowadzenia imprezy do końca. Świadczy o tym m.in. deklaracja M. Białasa, że wszystkie zaakceptowane projekty posiadają tzw. zabezpieczenie finansowe, wcale niebagatelne, oraz materiałowe. Pośrednio świadczy też o tym odrzucenie przez kolegium rzeczoznawców aż 10 projektów czy gotowych prac, co oznacza, że przy ich ocenie posługiwano się ostrymi kryteriami. A plastycy?

Niestety, niektórzy poszli na łatwiznę, kamuflując swoje nieporadne poczynania słowem „eksperyment technologiczny", czy bóg wie czym jeszcze. Nie ma przy tym sensu wskazywać na konkretne przykłady, ponieważ uwikłani w sprawę autorzy albo zrezygnowali z dalszej realizacji niefortunnych projektów, albo ich prace zostały „wyprowadzone" z terenu. A więc nie ma problemu? Jest, o czym przekonała dyskusja otwierająca drugi etap Spotkań: w gruncie rzeczy jałowa, wykazująca jakby niezrozumienie, czym powinna być organizacja przestrzeni społeczno-urbanistycznej. Błądziła ona wokół takich kwestii: ingerować w zastaną architekturę i urbanistykę, czy ją absolutnie honorować. Owszem, to nie są błahe sprawy — jeśli wyprzedza je świadomość istoty osiedla ludzkiego, rozumianego jako wielofunkcyjna struktura przestrzenna o określonym klimacie emocjonalnym. Na ten temat mówiono jednak mało, albo wcale.

Komisarzem pierwszego etapu Lubelskich Spotkań Plastycznych był Marian Bogusz, znany malarz i organizator kilku dużych oraz ważnych imprez artystycznych, np. Biennale Form Przestrzennych w Elblągu 1965 (Zdjęcie z wernisażu wystawy indywidualnej M. Bogusza, czynnej w lutym i marcu br. w lubelskim BWA, kiedy to studenci udekorowali swego mistrza wieńcem laurowym).

Fot. Andrzej Polakowski

Na szczęście będziemy mieli jeszcze okazję zapoznać się z projektami drugiego etapu, których wystawę — i publiczną ocenę — przewiduje się na 24 i 25 marca tegoż roku. Miejmy nadzieję, że mieszane uczucia wyniesione z dyskusji okażą się tylko subiektywnym odczuciem autora, odczuciem mało ważnym wobec olśniewających koncepcji uczestników Lubelskich Spotkań Plastycznych, o których — taka jest prawda — mówi się już głośno w kraju. Ale ten rezonans także zobowiązuje, nieprawdaż?!

IJK

Kamena str. 10

Wacław Mejbaum

BADANIE OSOBOWOŚCI

AMERYKANOM w Arizonie zapaliło się jezioro z benzyną. Amerykanie nie jedli, nie pili, trzy dni i dwie doby bez przerwy gasili. Ale jezioro paliło się dalej. Wtedy z lasu wylazła taka stara małpa, nadęła się, dmuchnęła i zgasło. Amerykanie ogromnie się uradowali. Starą małpę złapali i wsadzili do klatki. Potem karmili ją marmoladą z buraków. Małpa od tego dostała cholery i zdechła.

Bajka powyższa nie jest ani nacjonalistyczna, ani moralistyczna. Wbrew temu, co mogliby mniemać uczeni reprezentujący Warszawską Szkołę Etyki, nie jest to przypowieść o ludzkiej niewdzięczności. Nie jest to też apoteoza surowej małpiej natury, która — odpowiednio samorealizowana — może wybujać ponad szczyty człowieczeństwa. Krótko mówiąc — nie jest to bajka zaczerpięta ze współczesnej antropologii filozoficznej.

Bajka nasza, co nawet nierozgarnięty czytelnik bez trudu zauważy, jest bajką o marmoladzie z buraków. Marmolada taka okazuje się szkodliwa, pomimo niekwestionowanej (w bajce ani poza nią) pożyteczności wykorzystanego surowca. Nikt bowiem, w bieżącym wieku kosmetyki i kosmonautyki, nie wątpi, że buraki są bardzo pożyteczne. Zawierają cukier i witaminy, różne odmiany tej latorośli są niezastąpione jako surowiec w produkcji barszczu i rumu (myślę, rzecz jasna, o rumie „Senorita"). Nie nadają się jednak do produkcji marmolady. Małpa karmiona barszczem i rumem żyłaby długo i szczęśliwie, potraktowana marmoladą, zmarła natychmiast na symboliczną, choć doskwierliwą cholerę.

Istnieje grupa nauk humanistycznych, których użyteczność zbliżona jest do użyteczności marmolady z buraków. Wymieniłbym tu tak różne skądinąd dyscypliny jak seksuologia i metodyka nauczania, naukoznawstwo i psychiatria humanistyczna, antropologia filozoficzna a także liczne działy współczesnej socjologii, psychologii i pedagogiki.

Nauki marmoladowe nowotworzeją tym bujniej, im bardziej okazały jest przetwarzany burak. Nauka, społeczeństwo, człowiek w ogóle, a nawet kobieta, są raczej sporymi burakami. Każdy z wymienionych buraków może zapewnić ciągłość produkcji marmolady przez wiele stuleci.

Sama produkcja przebiega, jak się zdaje, w dwóch etapach. Najpierw buraki szatkuje się i miesza. Weźmy na przykład kobietę. Każde dziecko wie, jaka jest różnica między drzewem a kobietą, i że z kobietą postępować należy odwrotnie niż z drzewem. Fachowy seksuolog potrafi wyrazić tę samą prawdę, potrzebuje jednak w tym celu około 500 stron druku. Jest to zrozumiałe, jeżeli pamiętać, że poszatkowany burak przybiera na objętości proporcjonalnie do stopnia wyrafinowania zastosowanych technik naukowych. W szatkowaniu buraków nawet matematyka nie daje nic więcej oprócz przyrostu objętości. Zmatematyzowany fragment buraka zaczyna szatkować kobietę, przy zastosowaniu modnej ostatnio teorii katastrof! Ciekawych efektów można też oczekiwać po zastosowaniu do zadka aparatu analizy tensorowej.

Atoli szatkowanie i mieszanie nie czyni jeszcze z buraka marmolady. Naukowcom, którzy zadowalają się takim półproduktem, słusznie zarzuca się tak zwany płaski empiryzm, który profesor Ł. nie bez racji wyprowadza z wrogiej ideologii pozytywizmu.

Dla uzyskania pełnowartościowej marmolady trzeba zacier uszlachetnić. W tym celu doprawiamy buraki tajemnicą. Tajemnica, stosowana w produkcji marmolady od niepamiętnych czasów, nazywana była początkowo „duszą", ostatnio częściej mówi się o „wewnętrznej istocie zjawisk". Niektórzy sądzą, że tajemnica zawarta jest w samym buraku. My jednak bez trudu zdemaskujemy ten pogląd jako wyraz cynicznego lenistwa i skoncentrujemy naszą uwagę na tych Uczonych, którzy swoją marmoladę uczciwie doprawiają.

Przypuśćmy — aby zejść z baby — że burakiem jest student. Uczony, któremu zalecono badanie studentów, po wstępnym przygotowaniu zacieru natychmiast doprawi go tajemnicą, którą w tej branży zwyczajowo nazywa się **osobowością**. Nikt na tym świecie (nawet profesor J.) nie wie dotąd, co to takiego jest owa osobowość, nic więc dziwnego, że sprawa zdaje się zwiększać objętość i gotowa marmolada nie mieści się już nawet w wielotomowych publikacjach. Za nadużycie, niestety nierzadkie w praktyce badawczej uważam dodawanie do marmolady dalszych tajemnic, na przykład tak zwanej **integracji** lub **dezintegracji**, osobliwie zaś **dezintegracji pozytywnej**. Przyrost objętości okazuje się wówczas tak znaczny, że może zabraknąć miejsca na składowanie marmolady z innych buraków. Powstałaby wówczas krytyczna sytuacja, w której całość ludzkiej wiedzy zredukowałaby się do marmolady ze zdezintegrowanej osobowości studenta. Nie trzeba dowodzić, że kryzys taki byłby tragiczny dla wielu poważnych badaczy, w szczególności dotknąłby boleśnie Warszawską Szkołę Etyki. Chyba, że wspomniana Szkoła zdoła w porę przestawić się na nowy front badań, czego Jej z całego serca życzę.

Wróćmy jednak do naszego buraka. Pan Lucjan Sevé, człowiek, który gdzieniegdzie wystaje jeszcze ponad powierzchnię wyprodukowanej marmolady, twierdzi lub sugeruje, że osobowość człowieka (studenta w szczególności) to układy, w które ów człowiek był i jest uwikłany. Zbadać osobowość studenta znaczyłoby zatem tyle, co stwierdzić: skąd student bierze forsę na życie, gdzie student mieszka, z kim sypia, co jada i kogo się boi. Gdyby psychologowie wzięli na serio ten pogląd (na co bynajmniej się nie zanosi), to powstałaby pewna szansa powrotu do buraka. Forsy straconej na produkcję marmolady nie udałoby się co prawda odzyskać, uniknęlibyśmy jednak przynajmniej cholery, która trzęsie czytelnikiem dzieł o osobowości. W innym wypadku pozostaje łudzić się nadzieją, że cholera jest tylko formą pozytywnej dezintegracji osobowości. Z drugiej strony co za różnica, czy powiemy, że małpa dostała cholery, czy też dostała pozytywnej dezintegracji? Tak czy owak zdechła, i niech Bóg to Amerykanom wybaczy.

PARADOKSY SZCZEROŚCI

ONEGDAJ docent J. przyniósł mi w darze butelkę wieloowocowego, witaminizowanego soku „Górnik". „Oto górnik" — powiada. A ja sobie myślę, o cóż też jemu może chodzić? O trzy rzeczy przynajmniej:

1. że to jest właśnie „Górnik", a nie — przypuśćmy — mleko;
2. że to on — docent J. — jest szczodrym ofiarodawcą, a nie — przypuśćmy — babcia K.;
3. że mam coś załatwić jemu właśnie, a nie — przypuśćmy — papieżowi.

Pierwszą interpretację nazywam „fizykalną", drugą „ekspresywną", trzecią „perswazyjną" na przykład.

Jak wiadomo, interpretacja zdania „Oto górnik" w sensie fizykalnym jest przedmiotem wnikliwych badań formalnej metodologii nauk. Interpretacją ekspresywną od lat nie bez sukcesów zajmuje się Warszawska Szkoła Etyki. Co do mnie — pozostanę przy interpretacji trzeciej.

Zakładam — bo czemuż nie miałbym założyć? — że docent J. jest szczery. Swój chłop, daje „Górnika", bo chce coś załatwić (gdyby nie chciał, to by nie dawał i nie byłoby całego problemu). Szkopuł tylko w tym, że dalej nie wiem, co on właściwie ma do załatwienia. Jakby powiedział profesor Kmita, wypowiedź docenta J. (w tej interpretacji perswazyjnej) obciążona jest znacznym „współczynnikiem humanistycznym", nie powiedziałby jednak (nie znając docenta) co to za współczynnik w danym konkretnym wypadku.

Ktoś naiwny mógłby w tym miejscu doradzić: skoro nie wiesz, co to za współczynnik, potrzeba i wystarczy docenta bezpośrednio zapytać. Załóżmy — bo czemu nie mamy założyć? — że docent J. odpowie na przykład „wiesz, stary, jest taka dziewczyna". A ja sobie myślę, o cóż też jemu może chodzić? O trzy rzeczy przynajmniej:

1. że zbiór „dziewczyna" nie jest zbiorem pustym;
2. że docent J. ofiarowuje tę dziewczynę mnie, a nie — przypuśćmy babci K.;
3. że docent J. nic mi nie ofiarowuje, ale chce, żebym coś mu załatwił.

I jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu, co uprzednio. W interpretacji fizykalnej (dotyczącej w danym wypadku zbiorów pustych) sprawa jest przedmiotem głębokich badań i gromkich potępień Warszawskiej Szkoły Etyki. W interpretacji perswazyjnej — dalej nie wiadomo o co chodzi (jaki jest ten współczynnik).

Przypuszczam, że nikt nie będzie na tyle naiwny, aby wymagać ode mnie interpretacji dalszych — ewentualnych — wypowiedzi docenta J. (przynajmniej do czasu, gdy „Górnik" jest jeszcze w butelce). Ktoś może jednak zażądać, abym postarał się sformułować problem ogólnie. Co prawda, logicy dawno dowiedli, że wszystkie zdania ogólne są fałszywe. Zakładając jednak, że mogą się mylić, spróbujmy powiedzieć co następuje:

1. każda wypowiedź może być interpretowana jako szczera wypowiedź perswazyjna;
2. każda szczera wypowiedź perswazyjna obciążona jest współczynnikiem humanistycznym;
3. w żadnej szczerej wypowiedzi perswazyjnej nie wiadomo o co chodzi.

I to jest właśnie paradoks szczerości.

A oto jeszcze kilka (dwie) prostych ilustracji tego pięknego paradoksu.

1. Docent J. (pod koniec pierwszej butelki soku „Górnik") opowiada mi o tym, jak zdolnym jest uczonym, jak pracowitym ojcem, jak odpowiedzialnym człowiekiem i obywatelem. Poszukując współczynnika (i zakładając nieodmiennie dziecięcą szczerość docenta) zastanawiam się: o co też mu chodzi? Czyżby chciał, żebym zapomniał to, co do czego przypuszcza, że ja to o nim wiem? Nie wiadomo: co ja o nim wiem? A co on na ten temat przypuszcza? A więc: co ja mam właściwie zapomnieć?

2. Docent J. (pod koniec drugiej butelki soku „Górnik") mówi: „Wiesz, stary, tak w gruncie rzeczy, to ja jestem skończonym łajdakiem!". Ja zaś, zakładając głęboką szczerość docenta, rozważam: o co też jemu może chodzić? Czyżby chciał, abym przypomniał sobie coś, o czym zakłada, że kiedyś to wiedziałem i że dobrze to o nim świadczyło? Nie wiadomo: co o nim dobrze świadczy? Kiedy ja to wiedziałem? A więc? Co mam sobie właściwie przypomnieć? I — wyłącznie dla stałych prenumeratów — dodajmy jeszcze:

3. Docent J. (po trzeciej butelce) nie mówi już nic zgoła. A ja się zastanawiam: co też on przez to szczere milczenie chce mi wyperswadować? I tym razem wydaje mi się, zgadłem:

Kto milczy, nie błądzi
Jeśli milczy długo,
Człowiek może milczeć
Bo nie jest papugą.

EROTYK

Tak długo, tak bezsilnie pracuję daremno
Wśród wzlotów, upadków, zawiłych zachwyceń.
Król Henryk mi się kłania, siusiają dziewice,
A każda chce mieć dziecko i koniecznie ze mną.

Czy świat jest rozstrojony, czy ja jestem dureń?
O tym rozstrzygać nie chcę, albo też się boję.
Jakby co się zdarzyło, no to stanę murem,
To jest moją nadzieją i honorem moim.

Bez Boga żyję w sercu, zapałów nie czuję,
Tak widać mi sądzono, tak chyba być musi.
Czemu jednak Antoni zza węgła mnie kusi?
Nie bądź, Mejbaum, powiada, nie bądź takim wujem!

BAJKI

Jeden Amerykanin założył sobie kurnik. Kurnik był kolorowy, pierzasty i rozśpiewany. Niestety nie dawał żadnej produkcji. W tej sytuacji Amerykanin wziął nóż i zarżnął kurnik. Potem przez cały tydzień kąpał się w rosole.

•

Żył chłop i miał kaczkę. Kaczka jemu uciekła. Uciekła przez góry i lasy, przez doliny i rozpadliny. A chłop za nią gonił z siekierą. Kaczka dobiegła do Sanu. Chłop też dobiegł, wskoczył za kaczką do wody, a że siekiera ciężka, to się utopił. A kaczka popłynęła do morza i założyła hodowlę kaczek.

Kamena str. 11

CZASOPISMA STUDENCKIE

PISMA studenckie o zasięgu ogólnopolskim znajdują odbiorców nie tylko w środowisku akademickim. Ich popularność świadczy o potrzebie ich istnienia. Oprócz reprezentatywnych dla tej grupy czasopism takich jak: ITD, Nowy Medyk, Student, Politechnik istnieje również szereg wydawnictw środowiskowych, uczelnianych o charakterze biuletynów, jednodniówek, wydawnictw okolicznościowych. Uzyskanie klarownego obrazu tego zjawiska wymaga solidnych i żmudnych badań prasoznawczych. Czasopiśmiennictwo studenckie było dotąd w owych badaniach traktowane po macoszemu. Brak było prób opisu czy też choćby bibliografii prasy studenckiej, a dotychczasowe badania ograniczały się do pojedynczych artykułów analizujących zjawisko bez określonej typologii.

Obszerny tom „Czasopisma studenckie w Polsce 1945—1970" wydany staraniem ZG SZSP i pod redakcją Andrzeja K. Waśkiewicza, nie tylko zapełnia tę lukę w naszym prasoznawstwie, ale stanowi również pierwszą próbę opisu, interpretacji zjawiska i przyczynek do dalszych badań dziejów ruchu studenckiego w Polsce Ludowej. Oprócz bibliografii, w której autorzy zarejestrowali ponad 300 tytułów, praca zawiera monografie środowiskowe omawiające wydawnictwa ukazujące się w okresie 1945 — 1970 i szkice monograficzne o najważniejszych czasopismach studenckich.

Waldemar Michalski, który opracował monografię lubelskich czasopism studenckich zarejestrował 42 tytuły czasopism redagowanych i wydawanych przez studentów Lublina. Znajdziemy tutaj jednodniówki, uczelniane biuletyny informacyjne, czy też czasopisma naukowe o zasięgu ogólnopolskim np. „Językoznawca". Znaczna część pism zawierała prace o charakterze naukowym zarówno nauczycieli akademickich jak i studentów. Wśród redagujących znane dzisiaj nazwiska dziennikarzy, naukowców, literatów. Daje to obraz roli jaką pełnią owe wydawnictwa w ruchu studenckim. Dla wielu z redaktorów tych często efemerycznych pism były one pierwszym publicystycznym warsztatem naukowym, dziennikarskim, literackim.

Znaczna część z ponad 300 tytułów składających się na bibliografię to tytuły niedostępne obecnie nawet w bibliotekach akademickich, inne zachowały się w pojedynczych egzemplarzach w zbiorach prywatnych, po wielu pozostały jedynie wspomnienia i legenda. Tym cenniejszy jest wkład pracy, żmudnych poszukiwań współautorów tomu. Prace były prowadzone do ostatniej chwili i tam, gdzie to było możliwe, opis ruchu wydawniczego sięga do połowy 1972 roku. Innym istotnym osiągnięciem jest wypracowanie typologii czasopiśmiennictwa studenckiego. Andrzej K. Waśkiewicz we wstępie pisze o wielości koncepcji prasoznawczych dotyczących definicji prasy studenckiej. Na użytek omawianej pracy autorzy przyjęli trzy zasadnicze kryteria klasyfikacji wydawnictw do grupy „czasopisma studenckie": a) periodyczność i zewnętrzne cechy czasopisma (wyłączono np. almanachy i roczniki, a więc wydawnictwa zamknięte) b) wytwórcę i adresata c) zasięg czytelniczy.

Na ile zasady wypracowane przez autorów są słuszne i czy posłużą następnym badaczom prasy studenckiej, o tym przekonają nas następcy autorów „Czasopisma studenckie". W chwili obecnej pionierskość owej publikacji nie pozwala nawet na jakiekolwiek zarzuty natury merytorycznej. Jedno jest pewne: jest to książka potrzebna. Nawet dla przeciętnego studenta, który przy uważnej lekturze może się dowiedzieć, że jego obecny docent w czasach studenckiej młodości drukował awangardowe wiersze na łamach biuletynu informacyjnego.

Jerzy K. Misiec

Czasopisma studenckie w Polsce (1945—1970), redakcja: Andrzej K. Waśkiewicz, Jerzy Leszin-Koperski ZG SZSP, W-wa 1975, s. 398.

Młodzież szuka klubu

Wojciech Kurhan

PRZYJEŻDŻAM naładowany informacjami, że w gminie po likwidacji paru szkół pozostały budynki służące za składowiska ziemniaków i owoców, a miejscowej młodzieży nie pozwala się tam organizować klubów i prowadzić działalności kulturalno-rozrywkowej. Informacje uzyskane na szczeblu wojewódzkim okazują się mocno nieścisłe, i Jan Mazurkiewicz, przewodniczący Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP w Bychawie, powiada, że był u nich taki jeden przypadek, w Zaraszowie, ale właściwie jesienią ubiegłego roku sytuacja się zmieniła i młodzieży udostępniono pomieszczenie.

Może byśmy tam pojechali? Proszę bardzo. W Zaraszowie odnajdujemy Marię Flis, okazałą, 19-letnią blondynkę, przewodniczącą koła ZSMP, i udajemy się obejrzeć obiekt. Po drodze dowiaduję się, że wioska ma kłopoty z wodą, która zalega bardzo głęboko, trzeba wiercić kosztowne studnie głębinowe, na co nie wszystkich stać, większość korzysta z jedynej we wsi studni publicznej. Mijamy opuszczone, zaniedbane domostwa. Własność ludzi, którzy stąd wyjechali, mieszkają w Lublinie w blokach i domkach jednorodzinnych, pracują w Lublinie. Do Zaraszowa przyjadą, zasieją i pojadą. Przyjadą, zbiorą i pojadą. O żadnej hodowli nie ma mowy. Nie wiedziałem, że zjawisko chłopów-robotników ma i taką odmianę!

Substancja poszkolna, która została po ośmioklasówce przeniesionej parę lat temu do nowego budynku, prezentuje się jako parterowy, sfatygowany drewniak. W dwu pomieszczeniach gospodaruje klub „Ruchu", a młoda kobieta, spełniająca tutaj funkcje klubowej, palacza i sprzątaczki, właśnie myje podłogę. Więc w klubie chędogo, chociaż zimno i piec kaflowy wystygły po nocy. „U nich w klubach tak wszędzie przeważnie, posiedzisz godzinę i nogi z zimna odpadają" — informuje mnie Jan Mazurkiewicz.

W drugim skrzydle jest pomieszczenie udostępnione młodzieży właśnie jesienią ubiegłego roku, ale — jak powiadają — ze cztery lata służyło dyrektorowi szkoły jako prywatny magazynek sprzętu i owoców. Teraz tutaj widzę stół ping-pongowy, ustawiony po przekątnej, i kilku małych chłopców, którzy szykują się do gry. Pomieszczenie jest ciasne, nawet się dobrze zamachnąć rakietką nie można. Ściany odrapane, w kącie zdezelowany, nieczynny piecyk żelazny, tak zwana koza.

Ale młodzi chcieliby uzyskać jeszcze sąsiednie pomieszczenie, zamknięte obecnie na kłódkę. Po zburzeniu ścianki działowej można by powiększyć salę ping-pongową do jakichś ludzkich wymiarów, i dopiero całość pilśnią wybić, piec postawić... Mają życzliwość władz gminnych, które zgadzają się zainwestować. SKR i Koło Gospodyń też pomoże. Członkowie koła ZSMP złożyli się po 50 złotych ekstra na ten cel; ofiarowują swoją robociznę. Ale na razie sytuacja jest taka, że w tym zamkniętym pomieszczeniu znajduje się otwarte wejście do piwnicy, a w piwnicy rzeczy dyrektora szkoły. Zarząd Miejsko-Gminny ZSMP jeszcze nie rozmawiał w tej sprawie z dyrektorem. Nie bardzo wiadomo, co i jak — dodaje Maria Flis.

W klubie „Ruchu" późnym rankiem przy kawie spokojnie gawędzimy sobie o tych sprawach, i temat zaczyna mi się rozmywać. Pytam przewodniczącą koła ZSMP, kiedy ślub i czy ją nie ciągnie do miasta? Chodziła już w Lublinie do szkoły, chorowała, wróciła na wieś. Ślub nieprędko, wpierw chce skończyć wieczorowe technikum rolnicze w Bychawie.

W opinii Jana Mazurkiewicza koło ZSMP w Zaraszowie jest jednym z lepszych w gminie. A te słabsze? Istnieje takie; przewodnicząca wyjechała do Bychawy pracować, a koło w Kolonii Zaraszów? Tam zresztą konfliktowa sprawa, ktoś spośród członków ZSMP napisał do gminy skargę, że strażacy nie chcą udostępniać sali remizyjnej na potańcówki i gry ping-pongowe. Pojedziemy? Pojedziemy. Droga gruntowa, ale porządnie żużlem wysypana, dojeżdżamy bez trudności.

W Kolonii Zaraszów przyjmuje nas naczelnik Ochotniczej Straży Pożarnej, Ryszard Data, postawny mężczyzna w sile wieku. Rozmawiamy w jego domu. Szczerze chwalę obejście, budynki. Czysto wszędzie, w domu telewizor, woda doprowadzona. Ale nie o tym mieliśmy mówić.

Remiza została oddano do użytku w 1965 roku. Pieniądze były strażackie i czyny były strażackie, reszta dotacja państwowa. Czy młodzież pomagała w budowie? Wstyd powiedzieć, ale nie pomagała! I czy strażacy zawsze muszą być parobka-

Naprawa radio-aparatu

USŁUGI są jednym z tematów, o których można pisać bez końca. I to kontrowersyjnie. Bo w sprawozdaniach przedsiębiorstw wyglądają one niemal znakomicie, natomiast dużo inaczej w odczuciu społecznym. Oto jedna ze spraw.

Mój radioaparat „Ocean" od pewnego czasu zaczął strajkować. Chwilami grał dobrze, chwilami słabo, chwilami wcale. Zaniosłem go więc do wyspecjalizowanego punktu napraw aparatów nietypowych przy Al. PKWN 8 w Lublinie. Przyjęto go gładko, a zapowiedziany okres naprawy trzech dni nie wydał mi się zbyt długi. Pełen nadziei udałem się po odbiór czwartego dnia rano — ostrożność tę wyrobili u mnie inni niesolidni w dotrzymywaniu terminów usługodawcy.

Moja nadzieja zaczęła jednak szybko topnieć. Urzędujący w punkcie młody człowiek po długich poszukiwaniach na zapleczu oznajmił mi, że aparat jest naprawiony, ale teraz odebrać go nie mogę, dopiero za godzinę bo on nie jest w stanie znaleźć dokumentacji, w tym rachunku dla mnie. A wszystko dlatego, że kierowniczka i kalkulatorka są na naradzie w dyrekcji Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego, które przejęły punkty napraw od dawnych Zakładów Usług Radiotechnicznych i Telewizyjnych.

Na moją skromną uwagę, że 1) nikt nigdy nie wie, jak długo potrwa narada, 2) w powstałej sytuacji punkt powinien dostarczyć mi aparat do domu lub do miejsca pracy — pracownik ów oświadczył, że nigdy tego jeszcze nie zrobił i nie zrobi. Wobec tak kategorycznego stwierdzenia poprosiłem o numer telefonu dyrekcji WPHW. Młody człowiek z godnością odrzekł, że numeru nie zna, a książki telefonicznej nie posiada, chociaż aparat ma przed nosem.

Wróciłem więc do domu i systematycznie co godzinę dzwoniłem do dyrektora WPHW. Sekretarka cierpliwie informowała mnie kolejno, że na naradzie są obecni m. in.: dyrektor, jego zastępcy (oficjalnie — główni specjaliści), kierownik punktów napraw i jego zastępca.

Na marginesie wspomnę, że na wszelki wypadek w tzw. międzyczasie, nie chcąc zbyt zawracać głowy sekretarce, telefonowałem do „mojego" punktu napraw. Telefon jednak był przez trzy godziny stale zajęty. Połączyłem się więc z pocztowym punktem napraw nr 500-04, którego pracownik po chwili zapewnił mnie, iż telefon nr 510-92 nie jest zablokowany i mogę dzwonić. Ale był nadal nieczynny, a potem okazało się, że taki sam los spotkał abonentów wielu okolicznych telefonów.

Wreszcie o godzinie 15,20 — a wszystko zaczęło się o godz. 9.30 — kierownik punktów napraw p. Dolecki wrócił z narady. Był zmęczony, nic więc dziwnego, że bez entuzjazmu i cierpliwości słuchał moich żalów. Na koniec obiecał, że następnego dnia kierowniczka punktu napraw odwiezie mi aparat do domu, chociaż jest w stanie odmiennym. Tu odezwała się moja męska galanteria i oświadczyłem, że ze względu na ostatnią okoliczność sam pojadę.

Pojechałem i „Ocean" otrzymałem już bez kłopotu. Mój nowy „Wostok" wskazywał, że od czasu pierwszej wizyty minęło już sześć godzin, z czego pięć przerywanych było gęsto daremnymi telefonami. Naprawione kosztem zaledwie 95 zł radio jak na razie dobrze gra ale zastanawia mnie kilka innych spraw.

Sekretarka dyrektora kilkakrotnie i osoby uczestniczące także zapewniały mnie, że to była zwykła narada robocza, mówiono m. in. o niewykonywaniu planów finansowych, braku części zamiennych, mających być zainstalowanych w przyszłości komputerach itp. Dlaczego kierownik Dolecki usiłował przekonać mnie, że to było szkolenie „dla dobra klientów?"

Na ową pięciogodzinną (z dojazdami lub dojściem sześciogodzinną) naradę zwołano kierowników i kalkulatorów z różnych, nie mających z sobą nic wspólnego, punktów napraw. Dyrektor powinien chyba wiedzieć, że taka narada to strata przynajmniej trzech godzin, albowiem po dwóch i tak wszyscy mają w nosie to, o czym się mówi. A jeżeli jednym z głównych tematów były walące się plany finansowe, to czy przypadkiem nie walą się one dlatego, że pracownicy zbyt wiele czasu przesiadują na naradach zamiast przy pracy?

Dalej — jak to może być, że pracownik punktu usługowego, reprezentujący wobec klientów całe przedsiębiorstwo, nie zna lub nie ma zapisanego numeru telefonu dyrekcji? Przecież w wypadku kradzieży lub pożaru, nie mówiąc o innych okolicznościach, pod groźbą kary jest zobowiązany ową dyrekcję natychmiast zawiadomić. I dlaczego zastępuje kogoś, kogo zastąpić nie może lub nie umie?

I jeszcze jedno. Plany finansowe dla punktów usługowych stale rosną, podobnie jak dla zakładów produkcyjnych. Ale tu jest zasadnicze nieporozumienie. Z widocznymi skutkami walczymy — zwłaszcza jeżeli chodzi właśnie o radia i telewizory — o lepszą jakość. A przecież im lepsze są te aparaty, tym mniej napraw wymagają. W dodatku tranzystory nie psują się wcale, układy scalone bardzo rzadko. System automatycznego zwiększania planów w niektórych branżach, a tej szczególnie jest więc nonsensem. Gorzej — może być zachętą do wpisywania w rachunku pracy nie wykonanej, albo wymiany części, których nie wymieniono.

Nie sądzę, aby dyrektorowi o to chodziło. Ale czy wszyscy podlegli mu pracownicy nie zrobią tego, rezygnując równocześnie z premii?

BMR

mi dla wszystkich, jak choćby przy wysypywaniu tej drogi żużlem? — zapytuje naczelnik Data.

Chcę się dowiedzieć, do czego służy sala widowiskowa w remizie? Zabawy się urządza. Bardzo się pobili ostatnio na takiej zabawie? — pytam. Już dwie zabawy, jak się nie biją. Było pokazowe kolegium w remizie i się uspokoiło, po cztery tysiące grzywny chłopcy dostali.

Utrzymanie takiej remizy to jest droga impreza — kontynuuje naczelnik. Remont, malowanie, a jeszcze po tej budowie straż nie może wyjść z długów. Teraz zabawy się nie udają, zysk 1200 złotych wychodzi z jednej. Wódka z narzutem 30 procent jakoś nie idzie. Może krzakówkę przynoszą ze sobą? Nie. Tutaj tego się nie pędzi. Może piersiówki monopolowe mają, a może wino wolą?...

Czy młodzież urządzała swoje zabawy w remizie? Tak, ostatnio latem ubiegłego roku. Jak się zabawa uda, za wynajęcie sali widowiskowej koło ZSMP płaci 500 złotych. Plus trzysta, gdy robią bufet w odrębnym pomieszczeniu, skąd trzeba wyjeżdżać na czas zabawy strażackim samochodem. Potem dowiem się, że straż ponoć za wynajęcie sali pieniądze inkasuje, lecz pokwitowań nie kwapi się wystawiać i nie bardzo wiadomo, jak rozliczać te imprezy..

Ale naczelnik Data twierdzi, że młodzież za bardzo się nie stara o wynajmowanie sali, choć gdy się zabawa nie uda, straż nic nie żąda za wynajęcie. W tej skardze zaś chodziło o podpuszczenie. Miejscowe Koło Gospodyń chciało urządzić darmową zabawę, straż się nie zgodziła, bo nie są parobkami i tak dalej. Wtedy jedna z gospodyń podpuściła swoją córkę... Takie to są swary.

Jan Mazurkiewicz pyta, czy nie dałoby się do sali remizy wsadzić okresowo stół ping-pongowy, żeby młodzi mogli pograć wieczorem? Dałoby się, czemu nie. Były rozmowy. Ale przy remizie jest sklep spożywczy, gdzie wina w bród i strażacy boją się, że zamiast ping-ponga będzie kwitło pijaństwo, a sami młodzi też się boją wziąć odpowiedzialność za porządek. Ponadto powstaje jeszcze problem, kto ma sprzątać salę! A zresztą naczelnik raz „nakrył" w remizie chłopców i dziewczęta, jak się, za przeproszeniem, migdalili, papierosy przy tym paląc. Kiedy naczelnik był zasłużonym działaczem młodzieżowym po wyzwoleniu, nie takie były warunki. Po stodołach się jeździło, na klepiskach teatr amatorski pokazywało. A teraz oni wszystko chcą mieć pod nos!

Już w Bychawie, w lokalu Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP przekonałem się, że ten reportaż, jak mi się zaczął z początku rozmywać, tak w końcu za gładko mi pójdzie. Bo oto do Jana Mazurkiewicza wkracza interesant, działacz ZSMP z Bychawki. Potrzebne mu są pieniądze i blankiety dyplomów sportowych w związku z turniejami organizowanymi w Bychawce. Pieniądze i dyplomy otrzyma.

A turnieje są: ping-pongowy i siłacza wiejskiego. Obliczają imprezę, tradycyjnie już, na czterdziestu zawodników. Współorganizatorami są: ZSMP i LZS, a wszystko — w ludowym domu strażaka. Można się więc dogadać!..

I tym optymistycznym akcentem kończąc, dzwonię w Lublinie do Kuratorium, żeby się dowiedzieć, czy nadal obowiązuje przepis, o którym mi wspominano w Zaraszowie, że substancji poszkolnej nie można przekazywać na inne cele? Przepis istnieje, ale tu chodzi o nieprzekazywanie obiektów zakładom pracy. Zresztą przepis przepisem, a życie życiem. Jeśli młodzież chce w nieużywanych obiektach, opuszczonych przez szkoły, urządzać kluby czy sale ping-pongowe, nie widać przeszkód. Wystarczy tylko podanie do lubelskiego Kuratorium — tak mnie poinformowano.

Janusz Przybylski:

Obraz z cyklu „Błędne koło", 1976.

Fot. Mikołaj Spóz

Dominik Opolski

WYPISY Z „BŁĘDNEGO KOŁA"

Januszowi Przybylskiemu
w czasie pracy nad cyklem „Błędne koło"

Jesteś spokojny lecz spokój to złudny
I świeczka błazeńska w naszych wspomnieniach
Już nie sfałszuje tamtego pragnienia
Więc teraz powiem, że świat nasz jest smutny

Błazen potrafi jednym skurczem czoła
Rozśmieszyć pędzel nabrzmiały od świata
Co płótna może zaludniać przez lata
Jakie serce twoje ocalić zdoła.

Jakaż to ściana na ciebie się czai
A może okno otwarte na ogród
Pragnie być lustrem, co pochłania twarze?

I na tej czerni, która też coś tai
Wspomnienia znaczeń rozpoczęły pochód
Od drugiej strony – tej, co czuwać każe.

(w czasie Pleneru Malarskiego — Kazimierz 1976)

MINUTA MYŚLENIA

Wspominać

DLACZEGO ludzie piszą wspomnienia? Dziś, kiedy jest to czynność obyczajowo anachroniczna? Odpowiedź: właśnie dlatego. Współczesność obfituje w paradoksy, jak np. run na samowary, kolekcjonowanie przedwojennego bilonu, jarmark staroci, ortodoksja w zakresie obrządku weselnego. Widocznie nie wszystkie formy obyczaju wykazują nieprzydatność, a niektóre spełniają funkcje antidotum przeciw zmechanizowaniu współczesnego życia.

Zresztą wspomnienie ma swą moc atrakcyjną przez obietnicę zaspokojenia ciekawości: a jak było naprawdę? Dalej więc, czytelniku, wietrzyć sensacyjki, spodziewać się szyfru do wydarzeń, oczekiwać przemilczanych szczegółów. To wszystko na ogół daremnie, żadna rewelacja z relacji nie wynika. I chyba prawidłowo. Żywot autora, jeśli się przedostał do jego dzieła, zrobił co mógł najlepszego, tam doznał spotęgowania kreacją artystyczną, a sam autentyk to trochę winne grono po wyciśnięciu soku. Nie wiem, jak kto. Ja czytałem pamiętniki Solskiego bez entuzjazmu i raczej z uczuciem zniecierpliwienia skoro tyle do końca, a lektury w połowie zostawić nie wypada. A przecież jest to życie prawie stuletnie, w dodatku spędzone w zawodzie aktorskim tak podobno sprzyjającym urozmaiceniu biografii. Jeśli więc z koryfeuszem sceny miałem tak nieciekawe doświadczenie, to tylko dziękować Immanuelowi Kantowi, że nie pisał pamiętników. Osiemdziesiąt lat życia spędzone w jednym mieście! A nie znać byłaby kompromitacja.

Więc to trochę staroświeckie. Niewątpliwie. Przy dzisiejszej tendencji stylistycznej, tak zbieżnej z poetyką futurystyczną (do kosza przymiotniki, zdanie nie dłuższe od trzech wyrazów, precz z analizą psychologiczną), aż dziw, że jest ktoś, kto się tego podejmuje. Że się podjął tego np. Jalu Kurek, który (przy dyskusyjności całego problemu) podkreśla swoją awangardową postawę artystyczną. „Mój Kraków" to przecież książka z zamierzenia paseistyczna. Tak samo Bolesława Ożoga „Mój autentyzm", tyle tylko, że autentyku biograficznego jest w nim za grosz, a na tekst składają się napisane kiedyś artykuły. I znów dziwne: to jest mniej ciekawe. Już wolałbym ważne czy trochę mniej ważne perypetie bezpośrednich kontaktów z Czernikiem, Piętakiem, Pietrkiewiczem, Janczarskim, coś rzeczywiście z „okolicy poetów". Walczyć dziś — i po latach zwyciężyć nie istniejących już przeciwników — o tezy od dawna nieaktualne? Komu, po co, w jakiej sprawie? Książka co najwyżej mogłaby grać kontekstem w miejscach, gdzie argumentacja zahacza o zjawiska i problemy europejskie, ale i tam nie traci ona ze swej przyciężkości mimo pozorów osobistego wspomnienia.

Putramenta „Pół wieku". Zdawałoby się, cóż bardziej cennego od tej relacji pisarza, który we wszystkim musiał maczać palce, a przy swej skłonności do rąbania prawdy jest nieocenionym źródłem informacji tych właśnie „nieoficjalnych" tych „pamiętnikarskich". Tymczasem — stop. Rudymentarność, „naga prawda" stylu pozostawia na uboczu cały smak realiów, a tam, gdzie opis przybiera ton intrygująco demaskatorski, zamiast autentycznego nazwiska mamy jakiegoś Trylawa czy Swarożyca. Dlaczego? Czy tylko dla uniknięcia skandali? Owszem i to ale główny powód jest chyba inny: sama rzeczywistość nie przedstawiała się tak atrakcyjnie, jak ją przedstawił pamiętnikarz, dając więc nazwiska autentyczne, tu i tam popełnił by mistyfikację. Oto jedno z utrudnień pamiętnikarstwa, które przecież w pierwszym rzędzie ma być relacją.

Jednak ludzie piszą. I nawet pewność, że opis pochodzi z bezpośrednich przeżyć autora, dodaje mu smakowitości. Intryga wymyślona w powieści „Zazdrość i medycyna", Michała Choromańskiego z pewnością jest sensacyjniejsza od wypadków opisanych w jego „Memuarach", ale „Memuary" mówią o rzeczywistym Choromańskim, a nie o zmyślonym Widmarze i stąd ich poczytność. Dowiedzieć się czegoś o Witkiewiczu (z którego skłonnością do narkotyków nie łączyło się nic niesamowitego), o wojennych losach autora (który miał je wypełnione okolicznościami życia towarzyskiego) — oto co pociąga w takiej lekturze. Wydaje się, że popularność koniecznie musi wynikać z ładowności życiorysu, z bogactwa przeżyć i stąd wyróżnianie wspomnień. Tymczasem fakt wyjęty z życia ma o tyle walor czytelniczy, o ile autor potrafi ująć go jako sposobność do przedstawienia swojej filozofii.

Dlatego mam za złe Parandowskiemu, że nie pisze pamiętników. Ten typ pisarstwa pasuje mi jak ulał do tego celu. Wskazują na to „Trzy wiosny", „Zegar słoneczny", „Godzina śródziemnomorska". Oto pisarz, który nie wypowiedział się w beletrystyce. Wypowiedział się w plotce. W plotce najwyższego autoramentu. O Szekspirze, o Conradzie, o Arystofanesie.

W tym stylu bym sobie poczytał o Sieroszewskim, o Staffie, o Makuszyńskim. (Przy okazji dowiedziałbym się, czy autor „Panny z mokrą głową" rzeczywiście zadzierał nosa, jak to w wywiadzie telewizyjnym stwierdził Iwaszkiewicz, autor „Panien z Wilka". (Tyle czasu przeszłego marnuje się przez to, że paru upoważnionych (Iwaszkiewicz również) skąpi mu swego pióra, swej uwagi przez co i my — czytelnicy — ponosimy stratę. A przecież jest to rzeczywistość już całkowicie przez swą prehistoryczność autonomiczna, nie preludium czasu teraźniejszego. Tyle tylko, że jest jeszcze w Polsce paru ludzi, którzy by sobie o tym poczytali. Kiedyś coś Hamilton wspominał o swoim spotkaniu z kardynałem Hiondem. A nuż to jaskółka czegoś obszerniejszego? Jeśli chodzi o mnie, czekam z zainteresowaniem.

Ijon

HOROSKOPY

Ważne od 22 III do 4 IV

BARAN
21 III — 18 IV

Nie słuchasz dobrych rad, coraz mniej wierzysz oddanym ci ludziom, a potem dziwisz się, że życie zaczyna się komplikować. Chciałbyś fruwać z kwiatka na kwiatek, niestety brak ci skrzydełek i polotu. A te twoje ciągłe wyjazdy zaczynają już pewną osobę niepokoić. Właśnie na tej osobie powinno ci najbardziej zależeć!

BYK
19 IV — 20 V

Wyrwij się z tego towarzystwa póki jeszcze jest na to czas. Weź się solidnie do pracy bo nie możesz ciągle liczyć na czyjąś pomoc. Niekiedy jesteś bardzo naiwny, dajesz się po prostu naciągać, innym znów razem sam próbujesz naciągać innych. Do czego to podobne? Koniec marca może przynieść pewne zmiany w twoim życiu, tylko od ciebie zależy, jak dalej pokierujesz swymi sprawami.

BLIŹNIĘTA
21 V — 20 VI

Stanowczo więcej zdecydowania! Zacząłeś się przemęczać, chcesz innym zrobić przyjemność, ale zbyt mało dbasz o siebie. Udzielając rad innym, nie jesteś konsekwentny. Zmieniasz się jak kameleon, a to w życiu niezbyt popłaca. Raz idziesz po najlżejszej linii oporu kiedy indziej znów dajesz z siebie zbyt wiele. W gruncie rzeczy tylko się szarpiesz. Czy to naprawdę sprawia ci przyjemność?

RAK
21 VI — 22 VII

Chodzisz z wiecznym kacem. Rzadko można cię ostatnio zobaczyć trzeźwego. Niszczysz sobie zdrowie, a najbliższym nerwy. Potem dziwisz się, że inni cię lekceważą. W tej sytuacji najbardziej osobiste plany zaczynają walić się w gruzy. Co pozostało z dawnych ideałów? Popiół i zgliszcza. Jeśli nie zmienisz swego postępowania sam się w tym popiele zagrzebiesz po szyję.

LEW
23 VII — 22 VIII

Z porażki pewne wnioski wyciągnąłeś. To cieszy. Jedna jaskółka nie czyni jednak wiosny. Musisz, jak to się mówi, iść teraz za ciosem. Byle tylko nie był to u ciebie słomiany zapał. Jak dotąd pracowałeś zrywami, raz otrzymywałeś pochwały, a drugim razem lano cię po głowie. Chodziłeś zgorzkniały, jakby nie wiedząc, że nie ma skutków bez przyczyny. I tak postępuje człowiek urodzony pod znakiem Lwa?

PANNA
23 VIII — 22 IX

Przepełniłeś czarę goryczy i sam jesteś winien, że nastrój jest właśnie taki. Gdy wypijesz o jeden kieliszek za wiele, doszczętnie głupiejesz. Może rzeczywiście byłoby dobrze, gdybyś wziął urlop i wyjechał trochę przewietrzyć się do Zakopanego, o czym w cichości ducha marzysz? Inni też odpoczną od ciebie.

WAGA
23 IX — 22 X

Szef ci się zdecydowanie nie udał, ale przecież sam starałeś się o zmianę miejsca pracy. Nie możesz być zbyt nerwowy, bo jeszcze utrudniasz wzajemne stosunki. Najlepiej przeczekać — szefowie nie są wieczni. Metoda podgryzania rzadko kiedy przynosi dobre efekty.

SKORPION
23 X — 21 XI

Dojdzie do tego, że zapomnisz o rocznicy bitwy pod Grunwaldem! Istnieją przecież długopisy i notesy, które znacznie ułatwiają życie. Pewna miła osoba zniknęła z twego horyzontu, to jednak nie powód do rozpaczy...

STRZELEC
22 XI — 21 XII

Wiosna zwykle wpływa kojąco na twoje poszarpane nerwy. Lata lecą, czas, abyś się wreszcie na coś zdecydował. Propozycja jest może nęcąca ale zastanów się, czy po prostu podołasz. I nie myśl, że doceniono ciebie z powodu twoich umiejętności. Nadrabiasz wszystko tupetem, a niekiedy zwykłym lizusostwem. Nawet wstydzić się już nie potrafisz.

KOZIOROŻEC
22 XII — 20 I

Wcale nie jesteś już rozpieszczonym dzidziusiem któremu wszystko wolno. Twoje postępowanie przypomina nieraz taniec linoskoczka. Łatwiej niż myślisz, możesz spaść i pogruchotać sobie kości, zwłaszcza, że twój dotychczasowy protektor dziś nie ma już takiej pozycji, jak wczoraj.

WODNIK
21 I — 18 II

Licz raczej na siebie, bo sprawy zaszły tak daleko, że tylko sam sobie możesz pomóc i to pod warunkiem, że gruntownie zmienisz swój stosunek do życia. Przywykłeś więcej brać niż dawać. Kto cię tego nauczył? Przecież z domu tego nie wyniosłeś! Co do spraw uczuciowych to i one przedstawiają się czarno. Ten ktoś zaczyna robić cię w konia. Żeby to jeszcze czystej krwi!

RYBY
19 II — 20 III

„Wszystkie rybki śpią w jeziorze, tylko jedna spać nie może..." Jest piosenka w tym rodzaju, która, jak ulał, pasuje do ciebie. Zrobiłeś duże głupstwo i jeśli tego w tej chwili nie dostrzegasz, tym gorzej dla ciebie. Wykaż jednak większą energię, bo spóźniony żal niewiele już pomoże.

Stella

kultura 1977

FILM

■ W Katowicach odbyła się prapremiera filmu „Ptaki ptakom" — opowieść o mało znanym epizodzie z września 1939 roku, kiedy to byli powstańcy śląscy wraz z harcerkami i harcerzami bronili Katowic. Scenariusz napisali: Wilhelm Szewczyk, autor książki pod takim samym tytułem, oraz reżyser Paweł Komorowski. Nad filmem pracowano rok, a największy kłopot był z plenerami, gdyż krajobraz miasta jak i jego okolic bardzo się zmienił. Ten sam zespół filmowy „Silesia" realizuje obecnie „Sowizdrzała świętokrzyskiego", a przygotowuje do produkcji „Żarówkę" — film o pierwszych powojennych dniach we Wrocławiu.

■ Józef Nowak pięknie zaawansował — na ekranie. W filmie telewizyjnym „A jeśli będzie jesień" wystąpi w roli generała. Obok niego same znakomitości: J. Andrzejewska, Z. Rysiówna, J. Paluszkiewicz. A właściwie jest to historia dwojga emerytów, którzy chcą, ale nie mogą uzupełnić swojego życia.

■ Animy się spostrzegli, a słynna Mickey Mouse z filmów Disneya ukończyła właśnie 50 lat. W za dużych butach, z okrągłymi uszkami, stanowiąca swego rodzaju parodię przeciętnego Amerykanina — podbiła cały świat, stała się bardziej popularna od tysięcy aktorów i aktorek. Przy okazji przypomnijmy, że Disney za swoją twórczość obok wielu odznaczeń otrzymał 39 oskarów i 8 doktoratów honoris causa.

■ 49-letnia Jeanne Moreau poślubiła 40-letniego reżysera amerykańskiego Williama Friedkina. Poznali się przed ośmiu laty podczas nakręcania jednego z filmów w Hollywood. Moreau z pierwszego małżeństwa ma 27-letniego syna.

LITERATURA

■ Olbrzymi dorobek Oskara Kolberga nie należy, ściśle biorąc, do literatury. Ale od lat korzystają z unikalnych opracowań pisarze, dramaturdzy, filmowcy, muzycy. Od 1960 roku w Polsce Towarzystwo Ludoznawcze wydaje „Dzieła wszystkie" Kolberga pod redakcją znanego etnografa, prof. Józefa Burszty. Ostatnio skierowano do druku już 60 z kolei tom — całość obejmie 80 tomów.

■ Ryszard Liskowacki ma już za sobą dwadzieścia lat pracy twórczej — i dwadzieścia wydanych książek. Łączny ich nakład wyniósł milion egzemplarzy, w tym 700 tys. książki dla młodzieży. W tym roku ukaże się powieść „Wracamy do domu" — ostatnia część trylogii zapoczątkowanej książką „My z Marymontu". Debiutował już jako dramaturg („Brzeg") oraz scenarzysta filmowy („Rachunek sumienia"). Pochodzi z Krasnegostawu, mieszka w Szczecinie, ale dotychczas tematami marynistycznymi się nie zajmował. W tej chwili pracuje jednak nad scenariuszem dziewięcioodcinkowego serialu marynistycznego, który będzie reżyserował Z. Kuźmiński.

■ „Miesięcznik literacki", oficjalny organ Związku Pisarzy Czeskich od roku wydaje dodatek pt. „Warsztat" przeznaczony wyłącznie dla debiutujących autorów. Redaktor naczelny, dr Oldrzich Rafaj, oświadczył: „Naszym zadaniem jest troska o to, aby zachęcić młodych twórców do aktywnej, zaangażowanej postawy wobec wszystkich problemów, jakimi żyje młode pokolenie. (...) Nie może to być twórczość marginesowa, obojętna, ponadczasowa".

■ Jugosłowiańska huta żelaza „Sisak" co dwa lata kolportuje wśród wielotysięcznej załogi zbiorki wierszy, uznanych przez krytyków za najlepsze. Potem załoga na wielu wieczorach zawzięcie dyskutuje o wartościach tych książek i wreszcie przyznaje swoją nagrodę.

MUZYKA

■ Z okazji ukończenia 90 lat Artur Rubinstein udzielił wywiadu zachodnioniemieckiemu pismu „Welt am Sonntag". Zapytany, czy nie byłby skłonny zmienić swojej dawnej decyzji, iż nigdy już nie zagra w Niemczech, kompozytor odrzekł: „Nie mogę tego uczynić z przyczyn osobistych. Połowa mojej rodziny została wymordowana w komorach gazowych Hitlera". A oto wypowiedź o Szymanowskim: „Miałem chyba 15 lat, gdy poznałem Szymanowskiego. Wprawdzie nadal nie jest on jeszcze tak znany, jak na to zasłużył, jednakże od czasów Chopina jest on najlepszym polskim kompozytorem. Ponieważ jestem z pochodzenia Polakiem, byłem bardzo dumny, że mamy znów kompozytora, który się liczy. Po nim naturalnie szli w kolejności Strawiński i Prokofiew".

■ Miłośnicy muzyki mogą sobie sprowadzić z Paryża bardzo cenne wydawnictwo — „Historię muzyki" od roku 1600 do 1954. Są to trzy bogato ilustrowane tomy oraz 50 płyt długogrających, autorami opracowania są Brigitte i Jean Massin, wydawcą Serviclub Messidor. Dwa pierwsze tomy to historia ewolucji muzyki na tle życia społecznego i wydarzeń historycznych, trzeci zawiera komentarz do załączonych płyt.

■ Natomiast wydawnictwo drezdeńskie „Peters" opublikowało partyturę V Symfonii Ludwika van Beethovena. W wielu szczegółach różni się ona od rozpowszechnionej na świecie partytury, jest jednak zgodna z rękopisem.

OPINIE

■ „Od niepamiętnych czasów egzystuje gdzieś na poboczu życia literackiego młodzieżowa przybudówka, zwana niekiedy literaturą młodych albo literaturą debiutancką. Powstanie tej z pozoru jak najzwykliejszej kategorii zwiastuje niebezpieczeństwo zarówno dla literatury jako całości, jak i tej, wyodrębnionej z niej młodszej i mniejszej części. Może ona jakoby rządzić się swymi własnymi prawami i zasługiwać na odmienne, opiekuńcze traktowanie. Stwarza to okazję do stosowania wobec niej innej skali ocen, odrębnych kryteriów, nawet nieco odrębnego, wyspecjalizowanego języka". (Michał Łukaszewicz — „Trybuna Ludu" nr 52).

■ „Teatr lalek przedstawia zwykle baśń, gdzie dobro zmaga się ze złem. Dobro i zło są upersonifikowane i stanowią archetypiczne znaki wywoławcze, które w młodym człowieku mają wyrobić miłość do szlachetnych uczynków, ostrożność w ocenianiu postaci, wreszcie — wykształcić ogólniejszą refleksję nad światem i chęć odporu przeciwko każdemu złu, jakie może spotkać człowieka". (Tadeusz Łomnicki — „Kontrasty" nr 3).

■ „Na dobrą sprawę nigdy nie jest dostatecznie wiadome, kiedy malowaniość przeistacza się w sprawę pryncypialną, a owa w pewnym momencie ważność roztapia się, jak wosk objęty gorącym podmuchem". (Jerzy Andrzejewski — „Literatura" nr 9).

■ „Różne bywają radości, największa jednak jest ludzkie gadanie, dobieranie się do słów, wysupływanie ich spod języka, spod serca, spod duszy gadania spragnionej". (Rafał Sił — „Opole" nr 3).

PLASTYKA

■ Kto tylko może, niech zwiedzi wystawę prac laureatów nagrody im. C. K. Norwida, która jest otwarta w warszawskim Domu Artysty Plastyka. Znajduje się tam 139 dzieł malarskich 22 laureatów — każdy z nich przedstawił po dwie prace nagrodzone i po cztery z ostatniego okresu. W Warszawie wystawa ta budzi zacięte dyskusje.

■ W Hiszpanii opublikowano informację, że po wyznaczonych na koniec wiosny wyborach powszechnych powróci do Madrytu słynny obraz Pabla Picassa — „Guernica", będący protestem przeciwko faszyzmowi i okrucieństwom rozpętanej przez niego wojny domowej. Artysta zlecił ponownie ten obraz w Nowym Jorku zastrzegając, że nie może on być przesłany do Hiszpanii, dopóki rządzić nią będą faszyści. W nowym muzeum dla obrazu zarezerwowano już główną salę.

■ Zamieszkała w Rydze Liana Kudrienicka w bardzo dobrych płaskorzeźbach ceramicznych przedstawiała swoje miasto i jego historię. Cybernetyk L. Rastingin opracował jej twórczość przy pomocy komputera i stwierdził, że jej dzieła zawierają „zwiększoną objętość informacji znaczeniowej i emocjonalnej" i nazwał je — ku zdumieniu artystki — „ceramiką stereoskopową". Wszystko to udokumentował wzorami matematycznymi i logicznymi.

TEATR

■ Dokładnie dwadzieścia lat temu powstało jedyne w Polsce Muzeum Teatralne. Początkowo był to oddział Muzeum Historycznego Warszawy, obecnie jako samodzielna placówka mieści się w Teatrze Wielkim. Co roku zwiedza je około 200 tys. osób. Posiada ono w swoich zbiorach 50 tys. fotografii, 20 tys. afiszów, 10 tys. programów, 8 tys. obrazów, rzeźb, kostiumów i opracowań scenograficznych, 6 tys. egzemplarzy sztuk teatralnych, 5 tys. recenzji, 3 tys. rękopisów itd. Zbiory stale się wzbogacają dzięki zakupom, a zwłaszcza darom rodzin wybitnych aktorów, ostatnio np. Ćwiklińskiej, Kiepury, Ady Sari, Hanki Ordonówny, Alojzego Żółkowskiego czy Mieczysława Frenkla.

ekran i widz

„Rafferty i dziewczyny"

I OTO znowu odwija się przed nami czarna taśma asfaltowej szosy, biegnąca przez bezkresne przestrzenie Stanów Zjednoczonych. Zostają z tyłu potężne wieżowce, wielopoziomowe skrzyżowania, rozjarzone światłami wystawy, wielkomiejski blichtr i sztafaż ustępują miejsca parterowym domkom, prymitywnym — choć doskonale pod względem technicznym wyposażonym — „saloonom" i standardowym motelom, gdzie prości, „amerykańscy chłopcy", prowadzą swoje dziewczyny ubrane z elegancją lansowaną przez prowincjonalne magazyny konfekcyjne.

Przez takie miasteczka i osady pędzi swym rozklekotanym samochodem ex-marine Rafferty zwany „Lufą", a obok niego siedzą dwie dziewczyny, ni to hipiski, ni to kontestujące pół-kryminalistki, włóczące się bez wyraźnego celu autobusem po całym kraju. Dodajmy, że Rafferty, sterroryzowany i niejako „porwany" własnym samochodem przez przystojną długowłosą Mac Beachwood i piętnastoletnią uciekinierką z sierocińca Frisbee w pewnej chwili dobrowolnie „dostraja się" do sytuacji i wybiera pozycję bezdomnego włóczęgi — a wtedy nie będziemy już mieli wątpliwości, że film „Rafferty i dziewczyny" jest jednym z reprezentatywnych — choć nie najwyższej miary — dzieł swoistego gatunku, gatunku, który w ostatnich latach ze szczególną ostrością zarysowuje się w kinematografii Stanów Zjednoczonych. To problem alienacji ze współczesnego społeczeństwa amerykańskiego, ucieczki od uświęconych normatywów socjalnych i obyczajowych, szukania własnego miejsca w otaczającym świecie, tęsknoty za więzami przyjaźni i serdeczności łączącymi kiedyś ludzi, wreszcie problem wędrówki, zmiany miejsca, eksploracji niezbadanych terenów — tak charakterystyczny dla społeczeństwa amerykańskiego.

Z drugiej strony pewna grupa twórców zwróciła baczną uwagę na życie i specyfikę prowincji amerykańskiej. Wraz z nimi i my, z pewnym zdumieniem i zaskoczeniem, „odkrywamy" Amerykę prowincjonalną. Dziwną jakąś i „nierealną", bo przyzwyczailiśmy się do patrzenia na nią przez pryzmat filmów, w których na tle oszałamiającej techniki występują eleganccy panowie z grubymi cygarami, albo gangsterzy i policjanci w szybko pędzących samochodach, albo do Ameryki kowbojów i Dzikiego Zachodu, w którą — prawdę powiedziawszy — nikt jakoś tak naprawdę nie wierzy.

Może dlatego tak rażą nas w dzisiejszych, dbałych o realia filmach owe „folklorystyczne", kapelusze Stetsona, skórzane kamizelki, czy wyszywane, kowbojskie buty noszone nagminnie przez mieszkańców Arizony lub Teksasu. Może dlatego wydaje nam się przesadzona nuda i beznadziejność małych miasteczek z „Ostatniego seansu filmowego" Bogdanowicha czy „Alicja już tu nie mieszka" Scorsese'a (wyświetlanego niedawno na lubelskich ekranach). A przecież Stany Zjednoczone to „wielka wieś", o czym tak interesująco pisała kiedyś „Polityka" zwracając uwagę na fakt, że jest to kraj typowo rolniczy, wprawdzie z wielkim przemysłem i doskonale zmechanizowanym rolnictwem, ale też z wszelkimi charakterystycznymi cechami wynikającymi z jego „rolniczego" i „prowincjonalnego" charakteru.

Wreszcie, Stany Zjednoczone — wbrew lansowanemu w ciągu wielu lat przez „fabrykę snów", Hollywood, modelowi — to nie tylko kraj ludzi silnych, zdecydowanych „self-made-manów" zdążających uparcie ku wyznaczonemu celowi, ale również ojczyzna ludzi zwyczajnych. Częściej niż gdzie indziej — słabych, wewnętrznie rozdartych, zagubionych życiowo, nieszczęśliwych — chociaż prawie każdy posiada własny samochód... Ex-żołnierz Rafferty, który dwadzieścia lat spędził w piechocie morskiej i — wbrew nadziejom naiwnej Frisbee — nigdy nie wziął udziału w „prawdziwej" akcji wojskowej, bo pracował w intendenturze, to zaprzeczenie mitu „wspaniałego amerykańskiego chłopca". W swojej włóczędze szuka własnego życia zmarnowanego i wypaczonego w amerykańskiej armii, swojego miejsca w świecie i społeczeństwie, i pewnie tym bardziej lgnie do dwóch zagubionych na bezdrożach Ameryki dziewczyn.

Film zrealizował mało dotąd znany reżyser Dick Richards, a główne role grają Alan Arkin (Rafferty) oraz zupełnie nowe na polskich ekranach aktorki — Salli Kellerman (Mac) i doskonała w swej roli Mackenzie Phillips (Frisbee), o której pewnie jeszcze nie raz usłyszymy. W sumie, film zręcznie zrobiony, ładnie — choć konwencjonalnie — fotografowany, na który warto pójść nie tylko ze względu na jego walory artystyczne, co z uwagi na przynależność do kierunku wyznaczonego przez „Nocnego kowboja", „Alicja już tu nie mieszka", „Znikający punkt" czy „Ostatnie zadanie".

md

noty i notki

Miesięcznik „Kultura i ty" jest czasopismem „zakwalifikowanym przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego do działów nauczycielskich bibliotek szkolnych" — dla których jest informatorem i wszechstronnym pomocnikiem. Aby więc uatrakcyjnić życie szkolne, na razie nauczycielskie miesięcznik ten w nr 2 zamieścił 11 reprodukcji znakomitych zresztą rysunków Picassa. Rzecz w tym, że siedem z nich to rysunki przedstawiające rozmaite fragmenty walki byków. Poczekajmy jeszcze trochę, a dzięki naszym szkołom nadrobimy zaniedbania i będziemy mieli w sklepach więcej wołowiny.

Tak się jakoś składa, że słowa „film" czy „ekran" kojarzą się nam najczęściej z aktorkami. A jeżeli w piśmie filmowym prezentuje się aktorkę, to z reguły tak czy inaczej eksponuje się jej tzw. wdzięki. Tymczasem w nr 10 „Ekranu" nic z tych rzeczy, kilkanaście aktorek jest ubranych po szyję. Natomiast na kilku zdjęciach prezentuje się goie a wybujałe piersi męskie. O tempora, o mores!

Kto to jest pan Władysław Klimczak? Organizator krakowskich wystaw „Wenus". W wywiadzie dla „itd" (nr 10) wyznał on m. in., że: 1) ma już 37 kolejny samochód osobowy dzięki forsiastej rodzinie zagranicą, 2) na wystawach „Wenus" nie zarobił ani grosza, bo to jego hobby, 3) ma nadzieję przejść do historii, 4) nie jest kobieciarzem, a im która kobieta piękniejsza, tym mniej ma u niego szans, i gdyby pewnego dnia przestał tworzyć owe wystawy, wymyśliłby coś równie atrakcyjnego i oryginalnego. Może więc warto go do tego sprowokować?

Jak ten czas leci nierówno w różnych częściach Polski! Według mnie ten, kto w lutym 1965 roku miał dwadzieścia lat, obecnie ma ponad trzydzieści dwa. Ale inaczej jest w Olsztynie. Jak twierdzi Henryk Panas („Warmia i Mazury" nr 3), „Olsztyńskie środowisko plastyczne liczy już trzydzieści lat. W roku 1965 z okazji jego dwudziestolecia w lutowym numerze „WiM" pisałem"...

Kilka czasopism wzorem „Przekroju" prowadzi rubrykę „Zaprosili nas", która z jednej strony ma świadczyć o popularności pisma, z drugiej o tematyce, jaką się szczególnie zajmuje. W rzeszowskich „Profilach" (nr 3) opublikowano listę 11 zapraszających redakcję instytucji. Dziewięć zaproszeń dotyczyło wystaw plastycznych. W numerze zaś o żadnej z tych wystaw ani słowa, a plastyce zaś w ogóle 95 wierszy druku — w tym 18 wierszy to oficjalny komunikat o wynikach pewnego konkursu.

Ale się pan potknął, panie Kamyczek! W nr 1665 odpowiada pan pewnemu czytelnikowi: „zdrowy rozum powiada mi, że palcami nakładać coś na talerzyki może bufetowa, a kelner jedynie dostarczyć ugarnirowane talerzyki do stołu". Życzę panu smacznego gulaszu, tatara i bigosu, nakładanego w ten sposób.

Bełżyce nie są najmniejszym miastem w woj. lubelskim, są jeszcze trzy mniejsze, mają jednak ponad 4 tys. mieszkańców. Wiele tamtejszych instytucji uważa, że obywatele nie powinni im zawracać głowy osobiście, a tylko załatwiać sprawy przez telefon. Stąd w nowej książce telefonicznej są numery, ale nie ma adresów: ośrodka zdrowia, kina, lecznicy dla zwierząt, stacji benzynowej, domu kultury, księgarni, spółdzielni mieszkaniowej i gminnej, apteki, dwóch banków i wielu innych. Znalazł się także jeden obywatel, który telefony przyjmuje, ale gości widzieć nie chce.

Pani Kaniorowej proponuję, aby — nadążając za współczesnością — zmieniła nazwę swego zespołu na „The Lubelskie Group". Bo niby dlaczego nie? W Warszawie odbył się właśnie Konkurs Jazzu Tradycyjnego ZŁOTA TARKA. Wystąpiło tam 13 polskich zespołów, z których ani jeden nie miał polskiej nazwy. I świat się nie zawalił.

JOD

W Zamościu po raz trzeci w ostatnich miesiącach zmieniono znaki drogowe w śródmieściu, mające na celu uregulowanie ruchu samochodów w obrębie zabytkowej części miasta. Nareszcie zrobiono to z jakimś sensem, ograniczając nawet godziny dostaw do sklepów. Wydaje się jednak, iż wjazd do śródmieścia z wyjątkiem koniecznych dostaw powinien być zupełnie zamknięty, nie wyłączając tzw. samochodów uprzywilejowanych.

Siek

Kamena str. 14

POCZTA LITERACKA

M. W. Lublin. Oprowadza Pan swoich bohaterów po różnych perypetiach, ale, jak z nieproszonymi gośćmi, nie wie co z nimi zrobić. Narracja eskaluje ku coraz nowym niespodziankom nie mogąc się doczekać pointy. To właśnie brak panowania nad materiałem, albo gorzej: brak orientacji co do istoty utworu literackiego. Wydaje się Panu, że chodzi o zmyślenie jak największej ilości niezrozumiałych i nie powiązanych ze sobą scen, jak w polskim filmie sensacyjnym. Proponuję ostygnąć z tego zapału. To może być początkiem do zastanowienia się nad celowością i skutecznością użytych środków, a tego Panu potrzeba w pierwszym rzędzie.

E. P. Pszczela Wola. Nie wystarczy wyznać prawdę. Jeszcze ta prawda musi być czymś w rodzaju odkrycia. Musi zaskoczyć, zdumieć — nie wiem jak dokładniej określić i sprawić niespodziankę swoim pojawieniem się. Owszem, tzw. sytuacja egzystencjonalna warunkuje nie tylko poezję, lecz całe nasze życie. Ale fakt, że przemijamy w czasie, nie może być dla nas przedmiotem refleksji będąc truizmem. Co stąd wynika, jaką postawę zająć wobec tego faktu — tu poezja jak i cała świadomość ludzka ma coś do powiedzenia. Proponuję z tego wyciągnąć wniosek. Inaczej wiersz pozostanie rewelacją o tym, że jesienią opadają liście i wiatry się robią ostrzejsze.

J. R. Zawieprzyce. Coś mi się wydaje, że Pani stawia znak równości między poezją a poezją dla dzieci. Owszem, Brzechwa powiedział, że dla dzieci trzeba pisać tak samo, tylko lepiej. Czechowicza wiersze dla dzieci mają znamiona prawdziwej poezji, ale mnie chodzi o co innego: o to, że świat wyobraźni dziecięcej mimo wszystko rozgrywa się na mniejszej przestrzeni. I Pani na tym poprzestaje. Przechodząc ze sceny dramatycznej na kameralną, nie zyskuje Pani większej bezpośredniości uczuć, a tylko traci szerszy intelektualny rezonans. Proponuję odnaleźć utracony kanon, dobro wiersza nie może wyniknąć ze zmniejszonych wymagań.

S. T. Lublin. Chciałbym uniknąć zdawkowych powiedzeń. Cóż jeśli powiem, że nie warto być takim pesymistą, że trzeba jaśniej patrzeć na świat i w ogóle „niech no tylko zakwitną jabłonie"? Ale to się choćby z samej przekory w reakcji na Pana teksty nasuwa. Panu się wydaje, że zaczernić, nasypać sadzy, to osiągnąć przejmujący wyraz, bo zawsze wywieramy większy skutek kiedy straszymy. Kwestia: na jak długo? Wystrzał z korkowca rozlega się głośno i niczego nie zmienia. Tak samo bezcelowa jest poezja pirotechniczna oparta na zamyśle epatowania. Uwagi niniejsze uważam za tym bardziej zasadne, że w Pana wierszach daje się zauważyć wiele umiłowania przyrody, a to zawsze rozgrywa się w tonacji spokojnej i filozoficznej.

W. R. Stary Zamość. Nie powiem, że lektura tych wierszy nie przynosi satysfakcji, ale jest to satysfakcja prywatna, jak ujrzenie fasonu kapelusza, który już dawno wyszedł z mody, ale którego właściciel mimo to nie krępuje się używać. Natomiast nie rokuje powodzenia przy próbach wejścia na artystyczny rynek. Musimy się pogodzić, że czas dla tego rodzaju poetyki przeminął, jak poza parodią, czy pół- parodią nie zanuci już nikt „Jesiennych róż". I to raczej prawidłowość. Inaczej świat stanąłby w miejscu, inaczej jedną i tą samą piosenką — choćby najlepszą — musielibyśmy się rozrywać aż do znudzenia.

C. J. Zawadówka. Wcale nie jest powiedziane, że pozycja człowieka pióra to pozycja w społeczeństwie nobliwa; ostatnio, proszę zauważyć — nawet traci na znaczeniu. Ale czyżby tylko dlatego zabiegał Pan o wejście w tę profesję? Nie opłaci się. Spotka Pan tyle rozczarowań, tyle wymagań, tyle pracy, że ten „zysk" wcale nie wyrówna kosztów, na jakie się Pan w swej nieświadomości decyduje. A wiersze mimo to są ciekawe i nie wykluczone, że w przyszłości zmienią stosunek Pana do pracy pisarskiej.

A. P. Lublin. Ileż oszczędziłby Pan sobie trudu zagłądnąwszy w pierwszy lepszy tekst beletrystyczny napisany dzisiaj. Odpadłyby te wszystkie powiewy wiatru, które z promieniami słonecznymi igrają na grzbietach fal, te zmierzchy zasuwające szarą chustę na zaklęte widoki. Dziś pełni to funkcję tylko ośmieszającą. Nie ośmieszającą swój czas, wtedy były na miejscu. Ośmieszającą naiwność, która nie zauważyła zmian stylistycznych i znajduje się na anachronicznej pozycji. Musi Pan zacząć pisać jak człowiek współczesny. Język, którego Pan używa, sprawia wrażenie brody przyprawionej na karnawałowej zabawie.

R. C. Hrubieszów. Nie mogę doradzać Pani stylu, jak zresztą nie mogę doradzać niczego. Mogę tylko odradzać. Uwagi podane w tej rubryce to nie recepta na talent, ale ostrzeżenie przed wyraźnymi pomyłkami artystycznymi. Uczynione zresztą też nie z pozycji wyroczni, ale czytelnika. Dlatego nie podejmuję się o Pani tekstach wydać świadectwa takiego, które otworzyło by oczy jej autorce na wszystkie kwestie związane z pisaniem. Ot, rozmawiamy. Jeśli z jakimś pożytkiem dla naszych korespondentów, tym większa przyjemność dla mnie.

J. P. Lublin. Proza wymaga obróbki. To możemy uznać co najwyżej za pierwszą redakcję. Na czym ta obróbka ma polegać? Na skondensowaniu. Pan miejscami za dużo gawędzi. Co do wierszy — chyba nie one zajmują pierwszy plan pańskiej uwagi. A w każdym razie nie miejsce przed prozą.

S. G. Warszawa, D. W. Białystok, J. G. Janów Lubelski, R. T. Gdańsk — nie skorzystamy.

Szyfrogram (nr 6)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści nie żyjącego już pisarza lubelskiego. Pierwsze litery 11 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą inicjały imion i nazwisko tego pisarza. Pojedyńcze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami, a podwójne między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze

38. 37. 17. 133. 74. 61. 138 — roślina pasożytująca na drzewach.
7. 142. 46. 23. 29. 11. 41. 102. 39 — środek produkcji do bezpośredniego wykonywania obróbki lub montażu.
20. 24. 114. 12. 116. 9. 144 — polski tygodnik społeczno-kulturalny wychodzący w latach 1945—58.
25. 65. 15. 43. 33. 146 — miasto w sąsiedztwie Lubelskiego Zagłębia Węglowego.
2. 84. 44. 71. 50. 22. 13. 136 — zagroda, gumno.
3. 47. 120. 133. 42. 28. 5. 80 — bryła geometryczna z prostymi kątami i równymi bokami.
70. 106. 134. 89. 51. 36. 56. 104. 14 — ziemia należąca od pokoleń do jednej rodziny.
1. 58. 4. 69. 100. 127. 110. 31 — producent.
29. 6. 48. 57. 97. 59. 52. 117. 125 — statek powietrzny lżejszy od powietrza.
124. 40. 64. 132. 63. 19. 90. 103 — monarchia bez koronowanego władcy.
8. 68. 32. 126. 53. 21 — natura rzeczy, jądro sprawy.
66. 26. 45. 83. 77 — brydżowa buchalteria.
49. 67. 73. 105. 87. 138. 33 — telegram.
86. 60. 130. 10. 113. 96 — strona świata.
16. 54. 78. 99 — kask.
92. 129. 79. 55. 107. 123. 115 — wino musujące.
121. 131. 143. 149. 122 — słynny nosi imię Zygmunta.
119. 91. 88. 141. 95 — wielki kurort na Krymie.
73. 151. 140. 94. 109 — zabobony, przesądy.
150. 98. 30. 82 — obudowa złącza odcinków kabla.
137. 139. 148. 145. 111 — szumią na gór szczycie.
112. 76. 85 — XIX-wieczny pisarz amerykański, autor „Złotego żuka".
101. 81. 93. 118. 72. 108 — celownik optyczny, przeziernik.
34. 62. 147. 18 — wypływa z wulkanu.

1	■	2	3	4	5	6	7	8	9	10	■	11	12
13	14	15	16	■	17	18	19	20	21	■	22	23	24
25	26	■	27	28	29	■	30	31	32	33	34	35	36
37	■	■	38	39	40	41	42	43	44	■	45	46	47
48	49	■	50	51	52	53	54	55	■	56	57	58	59
60	61	62	■	63	64	65	■	66	67	■	68	69	70
71	72	73	74	■	75	76	77	78	79	80	81	82	■
83	■	84	85	86	■	87	88	89	90	91	■	92	93
94	95	■	96	97	■	98	99	100	101	102	103	104	105
106	■	107	108	109	110	111	■	■	112	113	114	115	116
117	118	■	119	120	121	122	123	124	■	125	126	127	128
129	■	130	131	132	133	134	135	136	137	■	138	139	140
141	142	143	144	145	146	■	147	■	148	149	150	151	■

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 4 był fragment wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Elegia o chłopcu polskim":

„Oddzielili cię, syneczku, od snów,
co jak motyl drżą,
Haftowali ci, syneczku, smutne oczy
rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ścięgi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew płynące morze."

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 4 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Jadwiga Zawada, 20-045 Lublin, ul. Czwartaków 13 m 4; Helena Ciepińska, 02-380 Warszawa, ul. Białobrzeska 10 m 2; Wanda Bednarska 24-100 Puławy, ul. Dwudziestolecia PRL 20 m 26; Krystian Winkler 45-363 Opole, ul. Kraszewskiego 29 m 6;

listy do kameny

„LUBELSKI PIONIER WALKI Z GRUŹLICĄ"

Zajęcia dydaktyczne nie pozwoliły nam ustosunkować się w terminie do listu p. Heleny Kwitowej, zamieszczonego w „Kamenie" z 9.I.1977 r., a skierowanego przecież do nas.

Przykro nam, że zabieramy cenny czas sprawą, którą można by wyjaśnić w bezpośredniej rozmowie z p. dr Kwitową, ale ponieważ zaczęła się ona toczyć na łamach „Kameny" mamy nadzieję, że i teraz w rubryce korespondencji redakcja będzie uprzejma ją zakończyć.

W poprzednim liście nie negowaliśmy, że pierwszym kierownikiem Kliniki Pediatrycznej w Lublinie była prof. Hanna Hirszfeldowa, jak to sugeruje p. dr Kwitowa, co wszakże nie zmienia faktu, iż następnym kierownikiem tejże Kliniki, zaraz po roku, był prof. dr Witold Klepacki, a nie p. dr Kwitowa, jakby to można odczytać z jej wypowiedzi. Uwzględniają to roczniki ówczesnego UMCS i pamiętniki Akademii Medycznej, a także cytowana przez nią jako kontrargument opinia prof. dr Antoniego Gębali.

Część z nas mimo nie ukończonych studiów była pracownikami Kliniki (stypendium lub etat), część z nas zetknęła się z p. dr Kwitową w pracy pediatrycznej poza Kliniką, jedna z koleżanek po czterech latach studiów w Lublinie była na piątym roku w Krakowie, co jednak nie przeszkadza, że wszyscy byliśmy świadkami ówczesnych wydarzeń i możemy je obiektywnie ocenić. Niewłaściwa ich interpretacja przez p. dr Kwitową zmusza nas do niepotrzebnej, wydawałoby się, polemiki.

Oby tylko nasza odpowiedź przekonała czytelników „Kameny" o słuszności wystąpienia, które ma jedynie na celu obronę świetlanej pamięci naszego pierwszego nauczyciela, prof. dr. Witolda Klepackiego.

Pracownicy Instytutu Pediatrii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Lublinie, a b. asystenci prof. dr. Witolda Klepackiego doc. dr hab. I. Modzelewska, prof. dr hab. T. Gerkowicz, doc. dr hab. B. Niewiedzioł, dr Krystyna Ważna, dr med. Joachim Juhnke, dr Marta Klepacka, dr Hanna Zdanowicz, dr med. Sylwia Grzycka

Od redakcji: Dziękujemy za listy w tej sprawie. Jeśli strony mają sobie jeszcze coś do powiedzenia na ten temat, prosimy załatwić to w bezpośredniej rozmowie.

ORKIESTRA NAMYSŁOWSKIEGO

Chadzałem niegdyś na koncerty Orkiestry Włościańskiej Namysłowskiego, pamiętam z jakim trudem kompletowało się zespół po wojnie, jakie trudności finansowe i osobowe musiał pokonywać ten zespół i wspierające go władze kulturalne Zamościa i Lublina. W końcu orkiestra zaczęła przecież występować, godnie kontynuując stare, przedwojenne tradycje. Od dłuższego przecież czasu, może od trzech — dwóch lat, jakoś o orkiestrze mało słychać, rzadko występuje, mało się o niej pisuje w gazetach. Jeśli wiecie, odpowiedzcie mi, co się dzieje z zasłużoną orkiestrą?

Jan Wrębiak
Gdańsk (dawniej w Lublinie)

Od redakcji: Rzeczywiście, orkiestra przechodziła okresowe pewne trudności natury personalno-organizacyjnej, które jak się dowiedzieliśmy — ma już na szczęście za sobą.

PROGRAM STAREGO MIASTA

Już dawno przyjęto projekt rewaloryzacji Starego Miasta w Lublinie, ale jego kompleksowa realizacja odsuwana jest w bliżej nieokreśloną przyszłość. To prawda, że pewne prace prowadzone są w tej zabytkowej dzielnicy, ale mają one albo charakter kosmetyczny (fasady), albo naukowo-badawczy. Tym samym odsuwa się w przyszłość przekształcenie Starego Miasta nie tylko w ładny, zadbany pomnik historycznej architektury, ale także w pulsujący życiem ośrodek współczesnej kultury. Chodzi o to, że zgodnie z programem, przedstawionym już wspomnianym projekcie rewaloryzacji, na tym obszarze przewidywano ulokowanie klubów artystycznych, galerii, stowarzyszeń twórczych etc. które zmieniłyby zasadniczo... choćby pejzaż obyczajowy Starego Miasta. Dzisiaj — dzisiaj nawet oprowadzanie wycieczek po staromiejskich uliczkach jest zajęciem jeśli nie ryzykownym, to przynajmniej żenującym. Poza tym: jeśli Stare Miasto zostanie uzdrowione w sensie konserwatorskim, ale bez zmiany funkcji jego budynków, to wszystkie nakłady mogą zostać szybko zaprzepaszczone przez niejednego z obecnych mieszkańców dzielnicy.

Joanna Bratke
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny.
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 573. 3 III 77 r.

Numer łamał: Wiktor Muda drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas 2552/1977/6

UŚMIECH JEDNEGO DNIA

— Najpierw przyjemność, potem obowiązek!

— Ty ła...łachu, jutro moje na...na...nazwisko będzie w ku...ku... „Kurierze"!

— Pytanie za 3 grosze. Kto był pierwszym redaktorem naczelnym „Kuriera Lubelskiego"?

— Pieniądze, albo „Kurier"!

„Kurier" — najlepszy drogowskaz

— Czytelnicy „Kuriera" idą do raju poza kolejką

„Kurier" przy tym był!

Fot. Sławomir Grünberg
Rys. Konrad Kozłowski

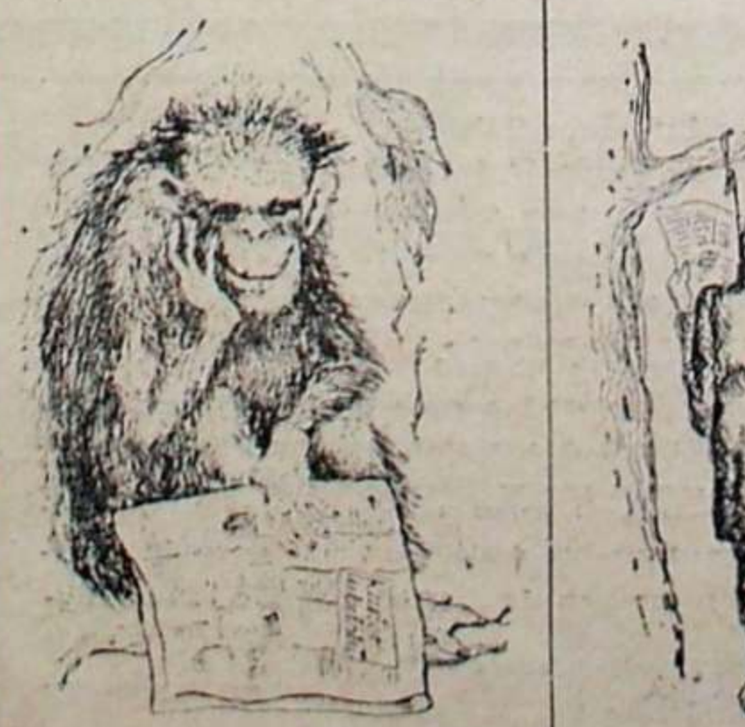

— Żebym to ja jeszcze czytać umiała!

Zawsze z „Kurierem"!